

Stało się jutro

Zaglądający przez szpary

Opowiadań fantastycznych zbiór trzydziesty drugi

Stało się jutro

Zagląający przez szpary

Opowiadań fantastycznych zbiór trzydziesty drugi

Zaglądaający przez szpary

1.

U progu lata, po półroczu wyteżonej pracy, rozprawa Privatdozenta Wilhelma A. Schreibera o malarskich wyobrażeniach Sądu Ostatecznego właściwie mogła być uznana za gotową. Profesor (bo i tak, nieco na wyrost, tytułowali go właściciele księgarenek i antykwariatów gęsto rozsianych w otaczających uniwersytet uliczkach) skupił się w niej na rozważaniu tego, jak motyw finalnego oddzielenia zbawionych od potępionych ujmowali mistrzowie tworzący u schyłku XV i w początkach XVI wieku. Do jego sieci badacza — starannie rozpiętej w czasie i w przestrzeni; nad wieloma dziesięcioleciami z obu stron przylegającymi do owego przełomu wieków i nad całą Europą — wpadło wszystko, co wpaść powinno. Zmieścił się w niej tryptyk Hansa Memlinga, którym na północy kontynentu zaowocowała jesień Średniowiecza. Zmieścił się też fresk Luki Signorellego, ten ze ściany katedry w Orvieto, który wiosna Renesansu przyniosła na południu. Zmieścili się razem ze swymi dziełami van der Weyden i van der Goes, Bouts i Bruegel, i jeszcze wielu innych, nie aż tak sławnych twórców...

Rozprawa zdawała się jej autorowi przedsięwzięciem najzupełniej udanym; uważał, że zdołał uniknąć drewnianego, belferskiego stylu, że znalazł tytuł — „Alle Farben des Jungsten Gerichts” — który będzie wzbudzać zaciekawienie czytelników, i że do sukcesu przyczyni się graficzna oprawa dzieła, bo od grozy płynącej ze scen sądowego dnia trudno oderwać oczy, a poważny wydawca z samej Getyngi zapewniał, że reprodukcje malowideł omawianych w tekście osiągną doskonałość oryginałów. A przecież znalazło się coś, co wstrzymywało pióro uczonego od postawienia ostatniej kropki. Coś, co niemalże od samego początku pracy uwierało go niczym gwóźdź w butcie, a pod koniec pisania doprowadzało go już do najprawdziwszego szału. Owym dokuczliwym drobiazgiem (Privatdozent Schreiber nieustannie przekonywał samego siebie, że to tylko drobiazg) był obraz nazywany tradycyjnie „Niedokończonym Sądem Ostatecznym z Wurzheimu”. Wyszedł on spod pędzla Hansa Walddorfera, malarza współczesnego Memlingowi, Signorellemu i innym mistrzom, ale — co do tego Privatdozent nie miał najmniejszych wątpliwości — obdarzonego talentem bez porównania pośledniejszym.

Jeden rzut oka wystarczał, by bez najmniejszych osłonek wychodziły na jaw jego potknięcia, błędy, a nawet oczywiste fuszerki. Na tle wyrafinowanej symetrii bezkresnych przestrzeni Memlinga raził u Walddorfera brak kompozycji, nieporadność w odnajdywaniu rytmu i harmonii prowadząca aż po granice zupełnego bałaganu. Na tle skłębionego tłumu wspaniałych, pysznie nagich ciał Signorellego musiała niecierpliwieć niezdarność ludzkich sylwetek, które w przypadkach skrajnych popadały po prostu w śmieszność. „Prowincjonalne, biedne beztalencie” — mrucał pod nosem Privatdozent Schreiber. I miał rację. Cóż jednak w takim razie sprawiło, że nadeszła chwila, od której „Niedokończony Sąd Ostateczny z Wurzheimu” stał się jedyną rzeczą, o jakiej Privatdozent Schreiber mógł myśleć? Jakaż zła moc tkwiąca w obrazie zrodziła rozdrażnienie, gniew, a wreszcie wściekłość naukowca? Czym promieniowały i przyciągały dwie deski podług wszystkich znaków

przeznaczone na skrzydła ołtarza, którego kwatery centralna z nieznanymi przyczynami nigdy nie została namalowana? Odpowiedź na wszystkie pytania zawierała dziwna wyjątkowość zaświatów Walddorfera, fakt, że nie przypominały one wyobrażeń raju i piekła stworzonych przez jakiegokolwiek innego malarza i nie pasowały do żadnego znanego wzorca. A przede wszystkim nie pasowały do fundamentalnej tezy, na której opierała się cała rozprawa zatytułowana „Alle Farben des Jungsten Gerichts”.

Privatdozent Schreiber starał się bowiem dowiedzieć, że wszystkie bez wyjątku malarskie prezentacje Sądu Ostatecznego wywodziły się z jednego źródła, że sprowadzały się w gruncie rzeczy do powieści ujęć znacznie od nich starszych. Malarze nie musieli trudzić własnej wyobraźni. Wystarczyło lepiej lub gorzej skopiować to, co już dwa albo i trzy stulecia wcześniej wykute zostało w kamieniu — na płaskorzeźbach zdobiących tympanony romańskich i gotyckich katedr. To właśnie z katedr w Moissac i Autun do katedr w Chartres, Amiens i Bambergu, a dopiero stamtąd na obrazy wędrowały wciąż te same rozwiązania kompozycyjne i detale: górujący nad wszystkim tron sprawującego sąd Chrystusa, dwa szeregi orędujących świętych, archanioł Michał na wielkiej wadze starannie odmierzający zebrane przez podsądnych grzechy i zasługi, otwierające się mogiły i pękające sarkofagi, zmartwychwstające, jakby ze snu budzące się ciała, stada aniołów — polatujących nad światem i dmących w trąby zdolne poderwać na nogi nawet najgłębiej śpiących, szerokie — kryształowe lub marmurowe — stopnie wiodące ku Bramie Niebios i pochod uduchowionych golasów, co ze złożonymi karnie rękoma pną się ku f najwyższemu podestowi, by otrzymać długie, fałdzone szaty i sztywno sterczące na prostych łodygach kwiaty lilii, tyleż przerażające, co groteskowe postacie szatanów — owe karykaturalne skrzyżowania czarnoskórych, niedorozwiniętych karłów z nietoperzami i kozłami, ich szponiaste łapy ściskające pejcze z łańcuchów i widły do czerwoności rozpalone w piekielnym ogniu, zniekształcone przez wściekłość i strach oblicza grzeszników, wytrzeszczone oczy, skrzywione grymasem usta i zęby zaciśnięte tak mocno, że nieomal słyszy się ich zgrzytanie, dłonie kurczowo zaciskające się na krawędzi pełnej ognia jamy albo we włosach stojących choćby odrobinę wyżej współtowarzyszy niedoli i nawet ten mały czarek o motyli skrzydłach lekko niosący ku płomieniom kobietę i mężczyznę, których cudzołonne uściski utrwalił potrójną pętlą z grubego sznura. Wszystko to — podkreślał raz po raz w swej rozprawie Privatdozent Schreiber — powtarzało się z rzeźby na rzeźbę i z obrazu na obraz; koniec końcem cała Europa miała przed oczyma jedną i tę samą wizję. I tylko Hans Walddorfer namalował swój Sąd Ostateczny inaczej. Przede wszystkim nie było widać na jego obrazie ani jednego otwartego grobu; tak ważne z religijnego punktu widzenia zmartwychwstanie ciał — w ogóle nie miało miejsca! Przypuszczenie zaś, że brak ów jest wynikiem czystego przypadku, bo wezwane do życia cmentarze mogłyby się znaleźć w środkowej, nie istniejącej części ołtarzowego tryptyku, upadało w obliczu innych niezwykłości występujących zarówno po infernalnej, jak i po edeńskiej stronie dzieła.

Całymi godzinami, w bezradnym zdumieniu, Privatdozent Schreiber wpatrywał się w szereg szatanów, którzy w swych kształtach zewnętrznych byli stuprocentowo ludzcy. I nie pastwili się nad potępionymi, nie dźgali ich widłami (ten atrybut diabelstwa był na obrazie zupełnie nieobecny), nie wlekli ich pojedynczo w głąb piekielnej czeluści. Między nagimi ciałami potępionych a szatanami zachowany był pewien dystans; ci ostatni trwali bez ruchu, stojąc z założonymi do tyłu rękoma obojętnie patrzyli na dokonywanie się nieodwracalnych wyroków. Wiał od nich nie tyle żar piekielnej wściekłości, co może jeszcze straszniejszy chłód manekinów, beznadziejna ponurość

zmokniętych strachów na wróble.

Także odchodzący w piekło różnili się od tych ukazywanych na wszystkich innych obrazach — nie próbowali się przeciwstawiać bożym decyzjom, nie stawiali oporu czartom, nie podejmowali rozpaczliwej obrony. Byli martwi! Ciała kaskadą spadające w otchłań, wokół której rozstawiły się złe duchy, nosiły wyraźne piętno trupiego bezwładu; za widome znaki śmierci przychodziło też uznać wyostrome rysy twarzy, bladość skór i sine na nich cienie. Wobec wyniosłej bierności przyglądających się tylko lub nadzór sprawujących szatanów, niezliczone zwłoki strącał w dół stwór tak fantastyczny, że bez reszty musiał zostać poczęty w wyobraźni artysty. Przypominał trochę monstrualnych rozmiarów żabę czy też może raczej żółwia, smoka o garbatym, ciemnozielonym, połyskliwym pancerzu i płonących białym blaskiem ślepiach. W pochmurny wilgotny poranek, pod chłodnym okiem szatanów — bestia toczyła przed sobą zwały trupów, pchała je potężnymi łapami, grzebała na wieczność... Tak wyglądało piekło Walddorfera.

Nie mniej zdziwień budziło jego niebo. Nader nieliczni aniołowie (na całym obrazie zmieściło się czterech) zdawali się nie poświęcać zbyt wielkiej uwagi zbawionym; nie latali wokół nich (zresztą patrząc na wątle niby—skrzydełka, jakimi zostali obdarzeni przez swego stwórcę, nie sposób było uwierzyć, by w ogóle mogły unieść ich w górę) ani nie dęli w trąby. Stojąc w dość niedbałych pozach na wysokim przedprożu Edenu trzej z nich grali na lutniach, czwarty zaś bił w wielki kocioł. Fakt, że zwykła orkiestracja muzyki anielskiej — a więc trąby, piszczałki, skrzypce, harfy i cymbały — zastąpiona została samymi tylko lutniami, nosił dla Privatdozenta Schreibera znamiona niepojętej, bluźnierczej pikanterii, bo przecież to właśnie lutnia była w Średniowieczu najpopularniejszym obok kobzy symbolem grzesznych uciech zmysłowych.

W Bramie Niebios, którą mieli za plecami czterej grajkowie, tylko przy wielkim nakładzie dobrej woli można było się dopatrzeć typowego w tej roli motywu, a więc zawieszono w przestworzach portalu gotyckiej katedry. To, co widniało na obrazie z Wurzhemu, nie potrafiło zasugerować kamiennej masywności murów, nie kojarzyło się z prawdziwą budowlą, lecz raczej z nieudolną dekoracją teatralną. U innych malarzy identyczny motyw mógł narzucać widzowi rozważania o rozległych, cudownych obszarach, jakich wolno oczekiwać za wysokim progiem. U Walddorfera nie podsuwał niczego poza myślą o ukrytym po drugiej stronie stelażu z drewnianych listew i zapomnianych, walających się w kurzu rupieciach.

Ale najbardziej zaskakiwali ci, którzy dostąpili zbawienia — ani pogrążeni w modlitwie, ani podążający po szerokich stopniach ku krainie wiecznej szczęśliwości, ani nadzy... Siedzieli oni lub leżeli — nieliczni także tańczyli — na trawie porastającej rozległą przestrzeń, która amfiteatralnie nachylonym łukiem otaczała strefę największej jasności: strefę Bramy Niebios i muzykujących przed nią aniołów. Od zieleni trawy stroje zbawionych odcinały się niezwykle różnorodnymi i bardzo intensywnymi barwami. Od razu rzucał się także w oczy ich krój — równie daleki od typowych średniowiecznych wyobrażeń o szatach niebiańskich, jak i od tego, co podówczas rzeczywiście noszono. Trudno było oprzeć się myśli, że obraz przedstawia zebrany na wolnym powietrzu tłum rozbawionych przebierańców.

Akt wniebowstąpienia przeradzał się u Walddorfera w jakiś szalony, zdumienie budzący karnawał...

Privatdozent Wilhelm A. Schreiber nigdy nie zdołał sobie poradzić z wurzheimskim obrazem. Zbyt był rzetelny, by — wzorem tylu innych autorów najróżniejszych teorii — po prostu pominąć niewygodny fakt. Z drugiej strony naprawdę nie potrafił wyjaśnić, dlaczego drugorzędny malarz

odważył się wystąpić przeciwko kanonom, które bez zastrzeżeń respektowali wszyscy najwybitniejsi twórcy. Po długim zwlekaniu uległ jednak wreszcie naciskom wydawcy i przekazał mu rękopis. Sprawę Walddorfera pozostawił otwartą; zasłonił się w odniesieniu do niego jedynie dość mglistymi rozważaniami o nieobliczalności artysty i o niezbadanych źródłach jego natchnienia. Ostatecznie rozprawa pod tytułem „Alle Farben des Jüngsten Gericht” wyszła spod pras drukarskich w czerwcu 1914 roku. Poza wąskim kręgiem specjalistów nie wzbudziła zainteresowania — świat zaprzątnięty był innymi sprawami. Kapitan rezerwy W. A. Schroeiber został uznany za zaginionego na froncie pod Amiens wiosną 1918 roku. W niespełna trzydzieści lat później, w czasie nalotu dywanowego na zlokalizowaną pod Wurzhaimem fabrykę amunicji, całkowitemu zniszczeniu uległo również muzeum miejskie, w którym przechowywano obraz Walddorfera.

2.

Płomienie podniosły się wyżej i dobiegające spoza ich ściany krzyki przeszły w wysoki, przeciągły skowyt. Trwał minutę lub dwie, a potem urwał się raptownie i słychać już tylko było, jak huczy rozgrzane powietrze i trzeszczą w ogniu żywiczne dyle. Gawiedź nie rozchodziła się jeszcze; powszechne, kamienne, grozę i fascynację wyrażające milczenie ustępowało miejsca szemrzącym głosom najwcześniejszych komentarzy.

Mistrz Hans nie chciał w tym uczestniczyć. Przeżegnał się machinalnie, odwrócił na pięcie i jako pierwszy ruszył ku miastu.

Stos wzniesiono poza murami Wurzheimu i wracać wypadało wąską ścieżką wzdłuż fosy, bacząc, by stopy nie pośliznęły się pośród blocka, w jakie przemienił ziemię topniejący, ostatni pewnie tej zimy śnieg.

Zwodzony most był opuszczony. Strażnicy wsparci na broni spoglądali ku pnącemu się w niebo słupowi szarego dymu, żaden z nich nawet nie odwrócił głowy w stronę mijającego brame malarza. Wąską uliczkę, w którą po chwili wkroczył, także wypełniała gęsta maź; nieruchoma z brzegów — na samym środku sunęła leniwie niosąc ze sobą fekalia i śmiecie, pęki gnijącej słomy i rzeźne odpadki. Z pootwieranych piwnicznych okienek wionął ciężki, kwaśny odór.

Pchnął drzwi pracowni. Otoczył go i oddzielił od przykrych woni miasta zapach drewna, kleju i farb, wchłonęła go bezpieczna cisza. Usiadł na stojącej pod ścianą ławie, głowę odchylił do tyłu i oparł o chłodny mur, przymknął oczy... Już druga w tym roku czarownica spłonęła u bram Wurzheimu; stara Małgorzata, służąca od kupca Justusa. Ta pierwsza, wcześniej oddana płomieniom, była za to zupełnie młoda. Prawie dziewczynka. Lud chętnie słuchał ustępów z pisma, co zatytułowane było „Malleus maleficarum”, z owej groźnej odezwy, którą przynieśli do miasta zakapturzeni mnisi. W umysłach i w sercach teżał prawdziwy młot, prawdziwy żelazny ciężar gotowy spaść na każdą, choćby tylko odrobinę o czarnoksiężskie zamysły podejrzaną głowę.

Mistrz Hans w żadne czary nie wierzył. Kobiety żywcem płonące na stosach takie same miały konszachty z diabłem, jak każdy inny mieszkaniec Wurzheimu. Ale ich nie zawiniona męka nie budziła w Mistrzu poczucia winy czy woli sprzeciwu; czyż winni byli ci, co nie przetrwali zarazy?, i ci, których zaraz potem zabrał głód?, albo ci, których wyrznęły zbrojne kupy zbuntowanych chłopów? Śmierć grasowała na całego. Stos był równie dobrym miejscem, jak cuchnący barłóg albo pole bitwy... Myśląc tak — nie robił wyjątku dla siebie. Jak dotąd wskazujący palec losu wciąż go omijał, ale przecież nieuchronnie nadejść musiał dzień, w którym i na niego zapadnie jakiś wyrok. Był z tym pogodzony. Nie uważał, by należało mu się więcej niż któremukolwiek z tych, co tworzyli otaczającą go szarą, ludzką masę. I w której z wolna tonął. Dzielił ich egzystencję bez zastrzeżeń i domagania się ulg. A przecież nie był całkiem wolny od wewnętrznego buntu, od gniewnej pasji i namiętnego pragnienia. Dawno minęły lata, kiedy pełen młodzieńczych sił i zuchwałej nadziei wędrował na północ — do Louvain, Haarlemu i Brugii, a stamtąd przez zieloną Szampanię i

słoneczną Burgundię ku południowi, za ośnieżone Alpy — do Ferrary i Florencji... Kiedy odwiedzał warsztaty najślynniejszych mistrzów, próbował przeniknąć ich tajemnice i ufał, że z czasem zdoła im dorównać. Teraz osiągnął już wiek, w którym artysta winien dawać światu swoje największe dzieła, te zaś, co wychodziły spod jego pędzla, wciąż dalekie były od wymarzonej doskonałości. Na próżno pracował dzień w dzień od świtu: po wielekroć przygotowywał szkice, zamazywał i przerabiał namalowane fragmenty, w nieskończoność poprawiał obrazy na pozór gotowe. Wiedział, że wszystko, co tworzy, nie może równać się z oglądanymi niegdyś pracami Flamandów i Italczyków. Ze sprawiającą ból jasnością dostrzegał, że nie może sięgnąć nawet tego, co rodziło się dziś i całkiem niedaleko — w pracowniach Norymbergi, Regensburga, Kolonii... Innych czekały uznanie i rozgłos; dla niego pozostawał mizerny zaszczyt zajmowania pierwszego miejsca pośród artystów zapadłego kąta, jakim był Wurzheim.

Niekiedy ogarniała go wściekłość. Kipiącą falą wybuchała w nim nienawiść do siebie, do nieudanych malowideł, do samego Boga. Z zaciśniętymi pięściami na przemian bluźnił i rzucał w niebo gorzkie pytania:

Dlaczego dałeś mi umiejętność odróżniania ziarna od plew? Czy tylko po to, by tak ostro biło w moje oczy t bogactwo dzieł cudzych i nędza moich własnych? Cóż przyjdzie z tego, że potrafię w lot rozpoznać arcydzieła, jeśli nie obdarzyłeś moich oczu i rąk zdolnością ich tworzenia? Dlaczego obudziłeś we mnie pragnienie dotarcia na najwyższe szczyty, chociaż wiedziałeś, że nie na moje siły ta droga? Dlaczego tak okrutnie ze mnie drwisz?”

Kiedy indziej korzył się. Ślubował nigdy więcej nie » narzekać na los i w zamian błagał o jeden jedyne rozbłysk prawdziwego natchnienia, o to tylko, by raz w życiu dana mu była moc stworzenia majstersztyku.

Wzniósłszy oczy ku drewnianemu Zbawicielowi rozpiętemu na krzyżu pod sklepieniem wurzheimskiej katedry szeptał: „Raz jeden dopomóż mi przekroczyć i moją własną miarę. Pozwól, by wypełniły mnie harmonia i lekkość. Będę pracował bez pożywienia i snu, ale spraw, bym w radosnym uniesieniu dojrzał wreszcie, jak pod dotknięciem mego pędzla wyłania się z niebytu doskonałość. Przecież możesz to uczynić...”

Mistrz Hans otworzył oczy. Przyniesiona pod powiekami wizja płonącego stosu szybko się rozplynęła. Przed nim, oparte o przeciwległą ścianę, stały dwie wysokie i wąskie, białe zagruntowane tablice. Trzecia, tak samo wysoka, lecz znacznie szersza, leżała na podłodze i nie była jeszcze przygotowana do malowania. Te puste, kształtów i barw czekające płaszczyzny, miały stać się ołtarzem. Wypełnić je miało wyobrażenie Sądu Ostatecznego, jakim swą cechową kaplicę zapragnęli ozdobić kowale i płatnerzy Wurzheimu. Chcieli patrzeć na piekło, co będzie ich przerażać. Na niebo, co obiecywać będzie radosne wyzwolenie od ziemskiego cierpienia. I na wagę, której szale będą ciężko opadać pod chwalebny balastem zasług i cnót ludzi sprawiedliwych, a lekko unosić beznadziejną nieważkość grzeszników.

Starsi cechu, którzy na samym początku Wielkiego Postu Zjawili się u Mistrza Hansa, zdawali się doskonale wiedzieć, jakich malowideł oczekują. Bez trudu odgadł, co obejrzeni, nim postanowili udać się do niego, i kogo powinien naśladować, by zadowolić ich gusty. Wszystko układało się typowo i prosto. A przecież teraz zwlekał z rozpoczęciem pracy. Po raz setny odżywała w nim nadzieja, powoli dojrzewał nastrój, w którym zamówienie jawić się mogło jako wyzwanie i jeszcze jedna, ostatnia już może, szansa. Znowu zaczynał wierzyć, że uchroni się przed stworzeniem czegoś, co będzie tylko krzywym, bladym odbiciem o wiele doskonalszych wzorów. Że nareszcie uda mu się

wyrazić więcej, wzbić się wyżej.

Wstał i postąpił dwa kroki w kierunku prawej tablicy. Tak samo jak poprzedniego dnia, jak przed tygodniem i przed miesiącem, wbił wzrok w nie tkniętą biel. Gdybyż mógł poprzez nią dostrzec choćby zarys upragnionej kompozycji! Jak właściwie znajdowali ją ci najwięksi? W jaki sposób odciskali piętno swego talentu w starych, znanych motywach? Nie pokazywali niczego nowego, bo przecież nawet oni nigdy nie widzieli wylotu piekielnej otchłani. Ani Bramy Niebios. Czyż jednak mistrzem, największym z największych nie stałby się ten, co by je i ujrzał naprawdę?

Mijały minuty i kwadranse, a on nie zmieniał pozycji. Nie dawał wytchnienia oczom. Krótki zimowy dzień . dobiegł końca i pracownię wypełnił szybko gęstniejący a i wszystko pochłaniający mrok; tylko biała płaszczyzna b przyszłego obrazu wciąż ostro odcinała się od otoczenia. Zdawała się świecić.

I oto nagle Mistrz Hans pojął, że jasny prostokąt staje się bramą, przejściem do rozległych, w bezkresną dal i sięgających obszarów. Przestrzeń wzywała go ku sobie, przyciągała go z niezwykłą mocą. Zafascynowany zbliżył się, stanął na jej progu. Zrazu nie dostrzegł niczego; druga strona ziała ciemną pustką. Potem zatańczyły w tej pustce wielobarwne światła, a jednocześnie w niewiadomy sposób objawiło się Mistrzowi, że punkt, w którym się znajduje, bardzo odległy jest od fundamentów czy też ode dna owego świata. I nie stoi w miejscu, lecz ze straszliwą szybkością dokądś się przesuwa. Nie potwierdzało tego żadne doznanie zmysłów (roztańczone światła cały czas utrzymywały się na poziomie jego oczu i ani nie zbliżały się, ani też nie oddalały od niego; nie czuł również najłżejszego powiewu), a jednak dwóch rzeczy był całkowicie pewien — wysokości i pędu. Tego, że u stóp ma przepaść, i tego, że jak strzała nad nią przelatuje. Nie uchwycił momentu, w którym szybkość lotu zmalała, a on sam opadł w dół. Stało się teraz tak, jakby przybył na wurzheimski zamek i ze szczytu najwyższej wieży patrzył na lasy otaczające miasto. Dostrzegł wśród nich rozległą polanę. Trwał tam jakiś ruch, więc wyteżył wzrok, a wtedy — z oddalenia i wysokości, w słabym świetle pochmurnego poranka — zobaczył to, czego nigdy nie miał już zapomnieć: wielką, wygrzebaną w ziemi jamę, stojący nad nią szereg wyniosłych sylwetek, sterty nagich albo prawie nagich ciał i zielonego smoka, bestię o połyskliwym pancerzu i płonących białym światłem ślepiach, która wśród ryku, zgrzytów i sapania spychała w dół doczesne ludzkie powłoki. Mistrz Hans nabrał przekonania, że ma przed sobą piekło.

Tylko przez kilka chwil dane mu było patrzeć na okrutny pejzaż. Zaraz potem osunął się w gęstą czerń, w głęboką noc bez snów. Ocknął się na podłodze pracowni. Leżąc skulony pod białą deską wciąż nie namalowanego ołtarzowego skrzydła przyglądał się smugom porannego blasku, które wciskały się przez szpary w okiennicach i drzwiach. W jego głowie kłębiły się strzępy obrazów. Nurtowały go chaotyczne, niespokojne pytania:

„Dlaczego diabły nie miały rogów i ogonów? Jak tam właściwie dotarłem? Czy potępieni są na wieki martwi? Czy tak wyglądał smok, z którym walczył święty Jerzy? Czy w dole płonął ogień? Jak stamtąd wróciłem?”

Odpowiedzi nie nadchodziły i zdał sobie nagle sprawę, że wcale ich nie potrzebuje. Wystarczył mu widok, co z każdą chwilą pełniejszy i wyraźniejszy wyłaniał się z jego pamięci. Własna wizja! Skoczył na równe nogi, porwał kawałek węgla i gorączkowo począł szkicować na desce ujrzaną wcześniej scenę. Własna wizja! Nie troszczył się już o to, co malowali inni, i nie próbował naśladować ich dzieł. Nareszcie swobodny i uspokojony szedł jemu jednemu znaną drogą, tak jak umiał, odtwarzał piekielny krąg. A przeczucie mówiło mu, że nim ukończy pracę przy pierwszym

skrzydle ołtarza, zdąży jeszcze zerknąć na niebo.

3.

Od prawie dwóch tygodni Dieter Sorge nie potrafił opanować miotającego nim podekscytowania. Pokój, w którym zwykł pracować, zaczął mu się wydawać za mały, obrotowy fotel przy biurku przestał nagle być wygodny, klawisze na desce komputera nabrały podejrzanej śliskości, a za oknem bez przerwy działały się jakieś hałaśliwe, rozpraszające uwagę głupstwa. Dieter tłukł się od ściany do ściany, nabijał tytoniem kolejne fajki, wypijał niezliczone filiżanki mocnej herbaty. Z przerażeniem spostrzegł, że marnuje czas, że godziny i dni przeciekają mu między palcami jak woda. Myśląc o tym czuł się winny. Winny bardziej niż kiedykolwiek, bo sprawę, która wprawiała go w ten stan, uważał za coś naprawdę niezwykłego i doniosłego, za coś, co wręcz domagało się pilnego opracowania, wyjaśnienia, zamknięcia w jasnych słowach. Ale na razie w żaden sposób nie udawało mu się podołać zadaniu. Wszystko zaczęło się właściwie o wiele wcześniej. Przed kilkoma miesiącami. W małym antykwariacie kupił wtedy staloryt wykonany przed prawie wiekiem podług obrazu starszego o dalszych czterysta lat. „H. WALDDORFER pinxit” — głosił rząd drobnych literek w lewym dolnym rogu pożółkłego arkusza kartonu. „A H. PAYNE sc.” — uzupełniały go literki po stronie prawej. Powyżej odbito równolegle dwa podłużne sztychy: jeden wyobrażający apokaliptyczną bestię, zagrzebującą w ziemi setki nagich ciał, i drugi, na którym czterech skrzydlatych muzyków przygrywało tłumom zgromadzonym w rozległym amfiteatrze. Z objaśnień na odwrocie kartonu wynikało, że treścią tych wizji są piekło i raj.

Dieter pinezką przypiął obrazek do ściany nad biurkiem. Właściwie nie wiedział, czemu wciąż chce go mieć przed oczyma. Może pociągał go staroświecki urok stalorytu? Może fascynował smok — monstualnych rozmiarów żaba czy też raczej żółw — dominujący nad piekielnymi czeluściami? A może podobała mu się myśl o niebie, w którym zbawieni będą słuchać muzyki i tańczyć? Nie był znawcą malarstwa; nie zdawał sobie jeszcze wówczas sprawy ze szczególnych cech dzieła Walddorfera. I niewiele umiałby powiedzieć o samym artyście. Właściwie nic poza tym, że mieszkał on kiedyś w mieście, które było również jego miastem — w Wurzhemie.

Przed dwoma tygodniami stary obraz ukazał się w zupełnie nowym oświeceniu. Dieter przygotowywał się właśnie do napisania szkicu, w którym zamierzał dokonać porównań między zbrodnią, jakiej dopuszcza się jednostka godząc na życie innej jednostki, i zmasowanym — rzecz by można — uprzemysłowionym mordem, w jakiego niezliczone przypadki brzemienne było XX stulecie. Z myślą o drugim wątku przynosił z biblioteki, a później godzinami kartkował albumy prezentujące zbiory amatorskich fotografii, na których utrwalone zostały przerażające, dantejskie sceny jednoczesnej śmierci setek, a niekiedy i tysiący ludzi.

Albumy pochodziły z całego świata i z różnych lat. Ale sterty trupów wszędzie wyglądały podobnie: zgładzeni głazem, zgładzeni kulami, zgładzeni trotylem i fosforem... Żadnego znaczenia nie miała już sprawa, dla której zginęli, i nikt nie pamiętał mętnych racji zabójców; mord był tylko mordem, a śmierć tylko śmiercią. Dlaczego nad tak wieloma jamami masowych grobów pojawiał się ktoś uzbrojony w aparat? O czym myślał naciskając spust migawki?

Wśród innych była też kolekcja zdjęć, które zrobiono w pierwszych dniach po zbombardowaniu Wurzhemu. Raz jeszcze przed oczyma Dietera monotonicznie przesuwały się prawie jednakowe, dobrze już mu znane widoki. A przecież nagle coś sprawiło, że zaprzestał kartkowania i szybko zaczął odkładać przejrzone poprzednio arkusze. Był pewien, że przed chwilą zamajaczyła mu wizja szczególna, że scena, dopiero co widziana przez mgnienie, wydała mu się znajoma nie przez swoje podobieństwo do innych, lecz dlatego, że kiedyś musiał ją — właśnie ją! — oglądać dłużej. Odnalazł wkrótce zdjęcie, które nadało delikatny sygnał: czołg użyty w roli spychacza zgarniał do wykopu setki zwłok, a kilkunastu ludzi przyglądało się operacji bez ruchu stojąc na usypiskach. Gdzie to już widział? Moment ustalenia źródła skojarzeń okazał się dlań prawdziwym wstrząsem; Dieter pojął, że ma przed sobą obraz Walddorfera. Nie sposób było dłużej nie dostrzegać, że masowy grób to piekielna czeluść, ludzie na usypiskach — diabły, a czołg z zapalonymi reflektorami — smok. I jedynie góry nagich ciał były tylko górami ciał.

Sporządził kserograficzną odbitkę zdjęcia. Wzmocnienie kontrastów, wyostrenie granic między bielą i czernią — upodobniło je do sztychu. Prawie nie wyglądało już na wynik pracy kamery, lecz na dzieło grafika. A gdy odbitka spoczęła na biurku obok zdjętego ze ściany stalorytu, musiały się rozwiać ostatnie wątpliwości. To nie było złudzenie. I nie mógł to być efekt czystego przypadku.

Właśnie od tej chwili opanowało Dietera nie dające się kontrolować podniecenie. Pojął, że przez zbieg okoliczności odkryte pokrewieństwo między liczącym blisko pół tysiąca lat malowidłem i fotografią sprzed lat kilkudziesięciu ofiarowuje mu punkt wyjścia do dociekań, wobec których wszystkie jego dotychczasowe intelektualne dokonania okażą się czczą paplaniną. Jedno po drugim eksplodowały w jego głowie pytania, z których każde mogło stać się początkiem oddzielnego eseju: czy to możliwe, by dzieło Walddorfera natchnęło jakiś obłąkany umysł do piekielnej inscenizacji?, czy ktoś podjął próbę skopiowania go w postaci żywego obrazu, który następnie utrwalono na kliszy?, a właściwie dlaczego pod czaszkami pewnych ludzi, pod czaszkami artystów takich jak Walddorfer, lęgną się wizje, które — przynajmniej na pozór — nie mogą być odbiciem ich realnego doświadczenia?, więc może jednak to, co w pierwszej chwili może zdać się przyczyną — w rzeczywistości jest następstwem?, może należy zgodzić się na odwrotną kolejność wydarzeń i przyjąć, że obdarzony proroczym zmysłem Walddorfer po prostu ujrzał scenę, która miała się rozegrać w setki lat po jego zgonie?, czy to nie naturalne, że wszyscy, co posiadają moc zaglądania w przyszłość, zawsze skazani są na wypaczone jej pojmowanie, na nieudolne interpretacje, dzięki którym, ujrzawszy rzeczy zupełnie obce, chociaż trochę przybliżają je do spraw znanych — i tak niewyobrażalny czołg przemienia się w wyobraźnego jeszcze smoka?, i w końcu czym jest przeszłość, teraźniejszość i przyszłość?, czy chwila miniona roztapia się w nicości, a chwila przyszła jeszcze się z nicości nie wyłoniła?, czy może raczej pierwsza z nich, nie tracąc swego pełnego kształtu, przesuwa się tylko w jakiś inny wymiar, a druga w gotowym, pełnym kształcie w jakimś innym wymiarze czeka?, bo może czas to ciemny, biegnący przez nieskończoność i wiecznie trwający tunel, a teraźniejszość to jedynie jego maleńki odcinek przejściowo wyrwany z mroku przez szaleńczo pędzące światelko?, czyż więc nie może się niekiedy zdarzyć, że błędny, ostry promień wybiegnie nagle naprzód, a oczy wybrańców podążą jego śladem? Wiedział, że jak najrychlej winien wziąć się za pisanie, że jego spostrzeżenia i skojarzenia tak wyraźne dzisiaj — z upływem czasu przyblakną, rozproszą się i dokądś odpłyną. Nic przecież nie dorówna najpierwszym, jak błyskawica przeszywającym mózg myślom. Przegapić je i zarzucić — to wyrzekać się jedynej szansy na powiedzenie świata czegoś naprawdę nowego i interesującego. A jednak, sam siebie nie pojmując,

zwlekał z rozpoczęciem pracy. I aby przed sobą jakoś tę opieszalność usprawiedliwić, wypełniał dni gromadzeniem materiałów o malarstwie sprzed wieków, o losach poszczególnych dzieł i ich twórców. Tak trafił na starą książkę, która w 1914 roku wyszła spod pras jednej z getyńskich drukarni. Napisana była wyjątkowo drewnianym, belferskim stylem, a jej tytuł — „Wszystkie barwy Sądu Ostatecznego” — odstręczał pretensjonalnością, ale za to autor, niejaki Privatdozent Wilhelm A. Schreiber wyrażał przekonanie o niezwykłości obrazu z Wurzhheimu równie silne jak jego własne. Widząc całą rzecz w odmiennej nieco perspektywie — wypełniony był identycznym przecuciem bliskości nieprzeniknionej granicy, taką samą bezradnością w obliczu zagadki wyrastającej ponad zwykle myślowe nawyki.

Odkrywszy podobieństwo wątpliwości Schreibera do swoich własnych niepokojów i wahań Dieter Sorge zapragnął dowiedzieć się czegoś bliższego o uczonej poprzedniku. Bez trudu odnalazł jego nazwisko w „Meyers Biographisches Wörterbuch”. Ale lektura krótkiej notatki zawierającej datę urodzenia, tytuły najważniejszych dzieł, stanowiska piastowane w paru zakładach naukowych i domniemane okoliczności śmierci jedynie pomnożyła liczbę pytań. Bo może zdarzyło się tak: Privatdozent i Reservehauptmann Schreiber nie poległ nad brzegami Sommy, lecz w wyniku kontuzji utracił pamięć. Zagubił się, umknął sanitarnym patrolom, błędnie zaszeregowano go w wojskowych ewidencjach. Wiedziony jakimś dziwnym, nadnaturalnym zmysłem przebył setki kilometrów i zawędrował do Wurzhheimu. Żył potem tutaj z ludzkiej łaski, a przynajmniej raz dziennie chodził do miejskiego muzeum i wbijał ciężkie spojrzenie kamiennych źrenic w nie ukończony obraz Walddorfera. Może jeszcze dzisiaj dałoby się odnaleźć jakiś ślad starego dziwaka, którego przeszłości nikt nie znał? Zakończył życie wraz z setkami innych tuż przed końcem kolejnej wielkiej wojny — w noc nalotu. Pochowany został w masowym grobie, którego kopanie utrwalono na zdjęciu. Bo czyż nie było możliwe, że ku namalowanemu przed wiekami piekłu od samego początku — od dnia, w którym pierwszy raz wpadł na kilka godzin do Wurzhheimu, by w naturze obejrzeć obraz, co nie pasował do tej jego rozprawy — przyciągała Schreibera siła, z której działania nie zawsze zdajemy sobie sprawę, ale która drzemie w każdym z nas: pragnienie poznania zawczasu okoliczności własnego końca?

Dieter nie wiedział już, czy tkwi w chaosie zbiegów okoliczności, w samym środku czystej gry przypadków, czy też z wolna staje się ogniwem pełnego znaczeń łańcucha. Nie był pewien, czy rzeczywiście odkrył nić łączącą Walddorfera ze Schreiberem, czy tylko wmówił sobie jej istnienie. Momentami zaciekle tropił niekonsekwencje i luki swego rozumowania, w zniechęceniu rozbijał misterną konstrukcję hipotez. Ale kiedy indziej poddawał się nieprzewartemu wrażeniu, że wszystko, na co ostatnio trafił, dopasowuje się i spaja: przenikliwy wzrok malarza z przykutymi do jego obrazu oczyma uczonego, ulotna wizja artysty z surową tkanką rzeczywistości, to co miało nadejść, z tym co dawno minione... Czas i przestrzeń oplatały się wtedy wokół niego, zamykały go w swoich zawężeniach i supłach. W dniu, który miał mu przynieść największy wstrząs i najpełniej ukazać jego własne miejsce wśród przetasowanych pejzaży i chwil, Dieter wciąż pozostawał w punkcie wyjścia. Nie zdołał napisać ani słowa. I coraz mocniej czuł, że dusi się w pracowni. Zapragnął wreszcie uciec z tej celi, w której sam siebie uwięził. Znaleźć się na otwartym, rozległym obszarze. Pod gołym niebem. Pośród ludzi...

Wywołał odpowiednie połączenie i na monitorze komputera ukazał się lokalny program imprez i spektakli. Znalazł w nim informację o wielkim koncercie organizowanym na głównym stadionie Wurzhheimu. Nie mógł wyobrazić sobie niczego lepszego! Spojrzał na zegarek — był już trochę

spóźniony, ale to nie mogło zmienić jego wyboru; coś pchało go w tamtą stronę, mówiło mu, że musi tam pójść. Bez przeszkód dotarł na miejsce. Kupił bilet, a potem stanął w najwyższym punkcie rozległych trybun. Na kocach i śpiworach siedziały i leżały tysiące młodych, kolorowo ubranych ludzi. Okrzykami i klaskaniem zachęcano do żywszej gry muzyków: trzech gitarzystów i perkusistę, co wystroili się w atłasowe, powłóczyste szaty, jakie zwykły nosić anioły ze świętych obrazów. Na samym dole, już na murawie boiska, zebrało się kilka grup, które próbowały tańczyć.

Estradę ustawiono pośrodku stadionu. Z jednej strony zamykał ją ogromny ekran, na którym wyświetlano towarzyszące muzyce obrazy. Gdy pojawił się na nim kamienny portal gotyckiej katedry, Dieterowi wydało się nagle, że wszystko to, co ma przed oczyma, widział już kiedyś wcześniej, że cała ta scena... „Walddorfer!” — szepnął. I w tej samej chwili poczuł na plecach jego zachłanny wzrok.

Dotyk

1.

Nie było sposobu na poruszenie tego człowieka. Na przedarcie się przez mur jego chłodnej uprzejmości i skąpo odmierzanych słów. Wyczerpała już wszystkie pomysły; żaden nie przydał się na nic. A jednak nie umiała się powstrzymać od jeszcze jednej próby. Chociaż wiedziała, że jej pytanie zabrzmiało dziwnie. Może nawet głupio. Czując, jak jej twarz ogarnia fala czerwonego gorąca, zagadnęła go, czy jest szczęśliwy. Popatrzył na nią uważnie, ale nie od razu zdecydował się — na odpowiedź. Aż do stóp wzgórza schodzili w zupełnym milczeniu. Dopiero tam, w chwili gdy wyciągała już rękę, by otworzyć klapę smugowca, wyrzucił z siebie kilka zdań.

— Może to panią zdziwi, ale ja... nie zastanawiam się... nad szczęściem... — powiedział. — A przynajmniej nie pojmuję go tak, jak zwykle się to robić ostatnimi czasy. Wyzwoliłem się z tej gorączki. Z tej nieustannej pogoni za coraz wspanialszymi wrażeniami i doznaniem... Teraz nie bawię się już w przebieranki, nie szukam nowych ról... Po prostu żyję.

Znowu uważnie na nią popatrzył, jak gdyby zastanawiając się nad tym, czy zasłużyła na jego szczerość. Albo nawet nad tym, czy w ogóle zdolna jest pojąć, co do niej mówi.

— Uspokoilem się — dodał. — Pewnie dlatego przestałem wierzyć w magiczne sposoby dotarcia do prawdy. W istnienie skutecznych wytrychów do drzwi, za którymi się skryła.

Rozległ się tętent, a po chwili zza zakrętu piaszczystej drogi, na której skrajem spoczywał smugowiec, wyłoniła się kawalkada. Jeźdźcy prosto trzymali się w siodłach. Błyszczały osłonięte stalowymi półpancerzami piersi, barwami szafiru i złota mieniły się krótkie pelerynki u ramion, powiewały pęki piór na szerokoskrzydłych kapeluszach. Spod końskich kopyt wzbijały się kłęby pyłu.

Kawalkada przemknęła tuż obok, a mimo to żaden z jeźdźców nie obdarzył ich choćby jednym spojrzeniem. Wszyscy patrzyli prosto przed siebie, zdawali się wyglądać jakiegoś odległego, dla ócz profanów niewidzialnego celu. I tylko mały chłopiec, który pozostał nieco w tyle, zachował się zupełnie inaczej. Powściągnął wierzchowca, uniósł się w strzemionach i wlepił wzrok w smugowiec. Trwał tak długą chwilę; dostatecznie długą, by mogli dokładnie mu się przyjrzeć. Wyglądał jak paż z bardzo starych obrazów. Z buzi okolonej sięgającymi ramion włosami dało się odczytać wszystkie falami przepływające uczucia: zdumienie, zaciekawienie, lęk mieszający się z tłumionym rozbawieniem. Pojechał w końcu dalej, ale jeszcze kilkakrotnie się obejrzał.

Oni także nie umieli powstrzymać się od śledzenia go wzrokiem; patrzyli na ostatniego z jeźdźców, póki nie stał się mniejszy od figurki ze sklepu z zabawkami. A nawet jeszcze dłużej; aż po chwilę, w której mogli już dostrzec jedynie ciemną plamkę raz po raz ginącą w chmurze pyłu.

— Zupełnie jak w bajce Andersena — powiedział. — Dorośli nie zauważają tego, co mogłoby zakłócić obraz świata, do jakiego przywykli. Tylko oczy dzieci są otwarte naprawdę.

Nie była pewna, o jaką bajkę mu chodzi. Ale nie poprosiła o wyjaśnienie. Zamiast tego spytała, czy sądzi, że chłopak mógł widzieć smugowiec po raz pierwszy w życiu.

— Oczywiście — przytaknął. — Przyznam się zresztą, że tego modelu ja sam dotąd nie

widziałem... Skwapliwie, niczym sprzedawca w prowincjonalnym salonie, zaczęła wyliczać zalety maszyny: szybkość do tysiąca mil na godzinę, automatyczny pilot, trzy miejsca pasażerskie, małe zużycie paliwa...

— Poza tym myślę, że to nie tylko smugowiec wyprowadził go z równowagi — powiedział przerywając jej w pół zdania. — Pani strój też musiał go przyprawić o szok.

Odruchowo pochyliła głowę i szybko prześlizgnęła się spojrzeniem po własnym ciele; cieniuteńka warstwa przejrzystego blichtreksu gładko przylegała do całej skóry, krótka spódniczka ze złotych łańcuszków układała się dokładnie tak, jak powinna. Wyglądało to zupełnie nieźle. Wyprostowała się i obdarzając go uśmiechem powiedziała, że byłaby szczęśliwsza, gdyby to on doznał szoku na jej widok. Odwzajemnił uśmiech, ale do wygłoszenia komplementu sprowokować się nie dał. Znowu zaległo między nimi milczenie. Z całą mocą, jeszcze wyraźniej niż niejednokrotnie w ciągu minionego popołudnia, uświadomiła sobie, że traci czas. Ten człowiek nie zamierzał jej pomóc. Wszystko, co pragnęła zrobić — z jego perspektywy najwidoczniej wydawało się pozbawione sensu. Nagle ogarnęło ją zniechęcenie. Dlaczego chciała żyć inaczej niż miliony dziewczyn w jej wieku? Właściwie po co podejmowała walkę? Poczula pod powiekami łzy. Ale właśnie ich mimowolne napływanie raz jeszcze w jednej sekundzie odmieniło jej nastrój. Ogarnął ją gwałtowny gniew. Z trudem panując nad głosem, prawie krzycząc, rzuciła mu w twarz, że i tak napisze książkę o nim. Czy będzie mu to odpowiadało, czy nie.

— Szkoda czasu — powiedział. — Pani wciąż myśli, że się kryguję, że to taka moja... kokieteria... Ale ja naprawdę uważam, że nie warto, by pani w to brnęła. Sama pani...

Nie słuchała go już. Jednym susem wślizgnęła się do smugowca i zatrzasnęła za sobą klapę. Wystartowała gwałtownie. Silnik pracował już pełną mocą, gdy włączyła monitor wstecznej kamery. Zobaczyła stok porośnięty wysokimi trawami i krzewami głogu. I Pawła Bossyna, który wspinał się powracając do swego domu na szczycie.

2.

Dziewczyna nadeszła od strony słońca, które minęło już zenit, i białym blaskiem wypełniało zachodnią stronę nieba. Przez zmrużone powieki widział na tym tle tylko ciemny kontur jej sylwetki i w pierwszej chwili wydało mu się, że jest zupełnie naga. Dopiero gdy się zbliżyła, spostrzegł, że nagość jest pozorna, bo okryta przejrzystą powłoką blichtreksowego kombinezonu. Pośród wszystkich strojów kobiecych nie było takiego, który lubiłby mniej.

— Jestem Bella Hunt — powiedziała wyciągając ku niemu rękę. — A pan jest Paweł Bossyn, prawda? Skinął głową i ująwszy dłoń dziewczyny lekko ją uściśnął. Ale zaraz rozwarł palce i prawie ze wstrętem cofnął rękę; dotknięcie blichtreksowej rękawiczki sprawiło mu niewysłowioną przykrość. Wcale nie mniejszą od tej, jaką sprawiało dawniej. Dziewczyna najwyraźniej nie zauważyła jego odruchu. Z niezmaconą pogodą trzepała grzecznościowe, powitalne formułki, śmiała się i nieco wdzięczyła. Wciąż nie wiedział, po co do niego przyszła. Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy wprost nie zapytać jej o cel wizyty. Jeśli ostatecznie tego nie zrobił, to jedynie przez skrepowanie wynikłe z faktu, że nie przychodził mu akurat do głowy żaden trafny zwrot. „Czego pani ode mnie chce?” zabrzmiałoby obcesowo i niegrzecznie. „Czym mogę pani służyć?” zbyt przypominałoby wyświechtaną grzeczność kelnera albo sprzedawcy.

— Od dawna podziwiałam pana prace — powiedziała. — Kiedyś poleciałam z Paryża do San Francisco tylko po to, by w World Museum of Modern Art przejść przez najdłuższy z pańskich tuneli. To było wspaniałe! Po prostu nie potrafię wyrazić tego, co przeżyłam. Naprawdę! Wychodząc po drugiej stronie byłam nowym człowiekiem.

Należała tedy do wielbicielek jego talentu. Admiratorek jego dzieł. Oczywiście mogło to stanowić wytłumaczenie nie zapowiedzianego przybycia, a jednak czuł, że nie jest to wytłumaczenie jedyne, że właściwy powód okaże się głębszy. Do przeszłości należały już lata, w których jego twórczym poczynaniom towarzyszył niejaki rozgłos. Od dawna nie szukano go tylko po to, by powiedzieć doń: „Mistrzu!”. Albo chociaż z bliska mu się przyjrzeć. Dlatego monosylabami i skinieniami głowy kwitując beztroską paplaniną dziewczyny, cały czas oczekiwał momentu, w którym odsłonią się wreszcie jej prawdziwe zamiary.

— Urodziłam się i wychowałam w strefie Głównego Nurtu — mówiła dalej. — Moi rodzice... — zawahała się — nie są obdarzeni specjalną wyobraźnią. Strefa Pogranicza nie pociągała ich nigdy... Enklawy tym bardziej nie... Ojciec zawsze powtarzał, że wszystko, czego pragnie, to móc u siebie robić swoje. Jest prawnikiem, teraz już na emeryturze. Nawet na wakacje jeździliśmy wyłącznie do miejsc leżących w obrębie naszej własnej strefy...

Wyrzucała z siebie mnóstwo słów. Odmalowywała zdarzenia dopiero co minione i sytuacje sprzed lat, wprowadzała go w szczegóły własnej biografii, z poważną miną dopuszczała do tajemnic, które nie mogły mieć dlań najmniejszego znaczenia. Nie przerywał jej, ale i tym razem jedyną przyczyną owej powściągliwości była zupełna pustka w głowie: brak właściwej formułki. „Dlaczego

mi pani o tym wszystkim opowiada?” musiałyby razić nienaturalnością, tchnęłyby emfazą — jak kwestia w staroświeckim melodramacie.

— Na pewno zastanawia się pan, dlaczego o tym wszystkim opowiadam — powiedziała. — Bardzo mi zależy, by pojął pan w pełni motywy mojego postępowania. To, że mając osiemnaście lat wyjechałam do strefy Pogranicza, było po prostu ślepym, szczenięcym buntem. To, że zaczęłam studiować historię sztuki w Paryżu — było już czymś więcej. I właśnie tam pierwszy raz usłyszałam o panu... O tym, co nazywał pan tuszyzmem. Pamięta pan, jak brzmiał w języku francuskim tytuł pańskiego manifestu? — „Les phenomenes du touchisme”... Zdołała rozbudzić w nim wspomnienia: pomyślał, że urządzając pierwszy pokaz dotykowców, był chyba niewiele od niej starszy... Czegóż sobie wówczas nie obiecywał? Wierzył nie tylko w to, że dokona przewrotu w sztuce, lecz również w narodziny nowego człowieka, do których przewrót ów da impuls. Widział siebie jako reformatora ludzkiej natury, demiurga zmieniającego kierunek rozwoju cywilizacji. Chciał być skałą, o którą roztrzaska się fala zdarzeń. Jakże się mylił! Jakże przecenił własne możliwości! Stał się zaledwie kroplą, którą fala wchłonęła. Tylko mając dwadzieścia parę lat można się aż tak mylić co do samego siebie...

— Poznałam wszystko, co pan zrobił. Udało mi się nawet zebrać nieco informacji o pana ostatnich pracach. O tych, które zniszczył pan przed ukończeniem. Ja wiem, wiem, że w jakimś momencie uznał pan kierunek swoich poszukiwań za fałszywy... Ale chociaż przez pewien czas żył pan inaczej niż wszyscy! Miał pan doznania, jakich większość z nas nawet nie potrafi sobie wyobrazić. Tak bardzo chciałabym wiedzieć, co się czuje będąc w takim stanie! Myślę, że nie tylko ja. Na pewno są miliony ludzi, którzy marzą o tym samym... Właśnie dlatego... Dlatego chciałabym to wszystko z pana wydobyć... Napisać książkę o panu. Pomoże mi pan? Przyszedł na koniec moment, w którym dowiedział się, do czego jest jej potrzebny. Znacznie później miał się zastanawiać, czy jego pierwszą, mglistą i może nawet tylko po części świadomą reakcją nie był dreszcz radości, miłe ciepło delikatnego ożywienia. Miał sobie również przypominać, że właśnie w tym momencie tysiące słów dziewczyny przestały mu się wydawać beztróską paplaniną. Dostrzegł, że mówiąc tak wiele od początku zmierzała do przekonania go, iż jej zainteresowanie tuszyzmem wypływa z najgłębszych, naprawdę poważnych pobudek, że cała sprawa wynikła z biegu jej życia, była jej przeznaczeniem. A przecież nie uległ wtedy kielkującej w nim przychylności; po sekundach wewnętrznego rozluźnienia, które trwało zbyt krótko, by na zewnątrz objawić się słowem, gestem lub choćby uśmiechem, natychmiast na powrót zamknął się w swojej skorupce. Nie mógł dopuścić, by przelotne nastroje zmieniały decyzje, które podjął kiedyś po długich rozmyślaniach. Pewien rozdział jego losów został podsumowany; nie było nic, co można by dopisać. Zupełnie już opanowany powiedział dziewczynie, że docenia uwagę okazaną jego osobie i twórczości. Że jest zaszczycony i szczerze wdzięczny, ale nie sądzi, by książka o nim mogła się komukolwiek na cokolwiek przydać. Dobrze wszystko rozważył, nim porzucił swoją poprzednią drogę. To naprawdę były manowce i najlepiej o wszystkim zapomnieć. I nie zdając sobie sprawy, że jego słowa mogą być odczytane jako lekceważące i wyniosłe, dodał jeszcze uwagę o ciekawych zajęciach, których nie brak w świecie, o atrakcjach, które satysfakcjonujące i bez reszty mogą wypełnić życie młodej kobiety.

— Oczywiście! — głos dziewczyny naładowany był gorzką, gniewną ironią. — Pcham się tam, gdzie nie trzeba! Powinnam bawić się w jakiejś enklawie albo być pracownicą pszczołką w Głównym Nurcie, albo wegetować na Pograniczu. *Quartum non datur*, malutka! To chciał mi pan uświadomić, czy tak?! Jej wybuch zaskoczył go. Próbował załagodzić sytuację żartując, że nigdy nie posunąłby się

do takiej poufałości, by zwrócić się do niej per „malutka”. I że kiepsko zna łacinę... Ale dziewczyna nie mogła się uspokoić.

— Pan uważa, że życie na serio zarezerwowane jest wyłącznie dla wielkich uczonych i najwybitniejszych artystów. Pan gardzi zwykłymi ludźmi. To dlatego nie chce ich pan dopuścić do swoich tajemnic. Przez całe popołudnie próbował ją potem przekonać, że jego niechęć do zwierzeń wynika z zupełnie innych powodów. I że jest uzasadniona. Ona zaś za wszelką cenę chciała go skłonić, by zmienił swoje postanowienie. Odprowadzając ją ku drodze, przy której zostawiła swój smugowiec, był już tym wszystkim naprawdę zmęczony. Poczul ulgę, gdy wreszcie zdecydowała się odlecieć.

3.

Smugowiec miękko opadł w głębi hangaru. Wsiadła i skierowała się ku korytarzowi prowadzącemu do wind. W blasku wypełniającym jego przeciwległy wylot mignęła jej jakaś przyczajona postać. Zbliżywszy się zobaczyła niemłodego mężczyznę. Nosił się z wyszukaną i może nawet nieco przesadną elegancją sprzed półtora stulecia: miał na sobie ciemnopopielaty żakiet, w którego butonierce pyszniła się duża, bladokremowa róża, gors jego śnieżnobiałej koszuli przecinał jedwabny fontaż umocniony brylantową spinką, sztuczkowe spodnie opadały na lśniące lakierki, a uzupełniały strój rękawiczki, cylinder i bambusowa laseczka z gałką. Gdy go mijala, owionął ją delikatny zapach wody kolońskiej. Spostrzegła również w tym momencie, że wąsy mężczyzny są starannie przy czernione, a kosmyki wystających spod cylindra włosów były brylantynowane. Nie uszła dziesięciu kroków, gdy zdała sobie sprawę, że nieznajomy podąża za nią. Przyspieszyła, ale on natychmiast także przyspieszył.

— *Mademoiselle! Ou allez-vous, Mademoiselle?* — zapytał, a jego francuszczyzna brzmiała chropawo i sztucznie. — *Je voudrais aller avec vous...* W pierwszym odruchu przyszło jej do głowy, że mogłaby podjąć grę i dać mu odrobinę satysfakcji. Wystarczyłoby mu pewnie, gdyby odrzuciła zaczepkę mówiąc: *Je n'ai pas le temps!* Albo: *Je suis pressée!* Jednakże jej myśli powróciły zaraz do nieudanego spotkania z Bossynem i w tej samej sekundzie doszła do wniosku, że nie ma powodu dbać o satysfakcje innych, jeśli jej własne nie obchodzą nikogo.

— Zły adres, wujku! — rzuciła przez ramię, gdy rozsunęły się przed nią przejrzyste drzwi windowej kabiny. — Pa! — dodała odwróciwszy się i napotkawszy po drugiej stronie zasuniętej już na powrót szyby jego zawiedzione, beznadziejnie smutne spojrzenie.

Stała przed drzwiami swojego apartamentu. Przyłożyła opuszkę kciuka do czarnego oka daktyloskopu i zamki ustąpiły z łagodnym, stłumionym szcęknięciem. Weszła do korytarza. W garderobie ściągnęła i wrzuciła do pojemnika na śmiecie blichtreksowy kombinezon. Wzięła prysznic. Zawinięta w kąpielowy ręcznik usiadła w fotelu ustawionym na wprost ściany ekranowej. Wsunęła na skronie opaskę z opadającym na czoło pudełeczkiem sensotransmitera. Jak zawsze przy tej czynności przypominał się jej Bendit Stein, z którym studiowała w Paryżu. Rozmawiali kiedyś o przyjemnościach niedostępnych na Pograniczu, a zupełnie powszednich, gdy żyje się w Głównym Nurcie (z Benditem można było pogadać na takie tematy, bo — podobnie jak ona — urodził się i wychował w Kanadzie, a na Pogranicze przyjechał dopiero w celu odbycia studiów). Sensotransmitter niezwykle przypomina mi tefilin, powiedział wtedy. To takie pudełeczko, wyjaśnił widząc pytanie w jej oczach, pudełeczko ze schowanym w środku skrawkiem pergaminu, na którym ręcznie przepisano cytat z Pięcioksięgu. Pobożni Żydzi przymocowują je rzemykiem na czole, gdy chcą odmówić poranną modlitwę. To symbol oddania się Bogu. Zapytała go: czy chcesz przez to powiedzieć, że obcowanie z Bogiem zastąpiono w Głównym Nurcie pogrążeniem się w barwnych omamach? Może nie jest aż tak, odparł, ale przyznam, że chodziła mi po głowie podobna myśl.

Opuściła dłoń ku pokrętlom i przyciskom zamontowanym na poręczy fotela. W tym samym momencie znalazła się na skalnym występie pośród wysokich gór. Powietrze było przejrzyste i ostre. W dali białe lśniły pokryte wiecznymi śniegami szczyty. Powiał wiatr i przyniósł ze sobą kłujące drobinki lodu. Wzdrygnęła się i gwałtownie zmieniła kanał. Przeniosła się zaraz na nagrzaną przez słońce skałę nad błękitnym morzem. Zanurzyła się w śródziemnomorskim upale, w promieniach palącego skwarem słońca, którego działanie miło łagodziły sięgające jej raz po raz bryzgi z uderzających o skałę fal. Słyszała ich huk i krzyki krążących w górze mew. Było jej teraz o wiele lepiej niż przed chwilą; spokojnie mogła się zastanowić nad wydarzeniami minionego dnia. Wiedziała już, że popełniła błąd. Może nawet parę błędów. Idiotycznie się ubrałam, myślała, zupełnie nie tak, jak należało. Blichtreksowy kombinezon: ciało na pozór nagie, a przecież niedotykalne. Tak — to nie mogło mu się podobać, chyba nawet powiedział na ten temat coś złośliwego. I zbyt okrężną drogą zmierzałam do wyjawienia mu mojej prośby, wyrzucała sobie dalej, powódź słów i spraw musiała wzbudzić w nim nieufność.

Trzeba było grać w otwarte karty, od pierwszej chwili wprost wyjawić, o co chodzi... Przeciągnęła — dłonią po włosach, by przekonać się, czy już wyschły. Potem prawie bezwiednie, w automatycznym odruchu przedłużając gest, zsunęła z głowy opaskę sensotransmitera. Morze przed nią zrobiło się nagle płaskie i nieme. Wyłączyła więc i ekran. Wstała z fotela i podeszła do półki, na której leżało kilka książek. Sięgnęła po tę, która była na samym wierzchu. Przyjrzała się okładce. Szeptem, słowo po słowie — tak jakby czyniła to po raz pierwszy — odczytała tytuł oraz imię i nazwisko autora: „*Le touchisme et la classification structurale des beaux arts. Par André Lauran*”. Ponownie przyjrzała się okładce i nagle z rozmachem cisnęła książką o ścianę. Zaczęła krążyć wokół nielicznych mebli i z miejsca na miejsce przekładać jakieś drobiazgi. Andre Lauran, myślała, wielki pan profesor. Starannie poukładał sobie wszystko w oddzielnych szufladkach. Dla tuszyzmu też znalazł kącik. Nawet całkiem spory: trzysta stron druku. A przecież istoty sprawy nie zdołał nawet musnąć! Nie podjął niczego! Po raz kolejny obeszła pokój dookoła. Ale Lauran chwalił się kiedyś, że osobiście zna Bossyna, przypomniawszy sobie, z jaką pewnością wspominał o tym podczas któregoś z wykładów. Może więc mógłby ułatwić nawiązanie kontaktu? Dopomóc w przełamaniu lodów?

Wiedziała, że Lauran nie mieszka już w Paryżu; po przejściu na emeryturę opuścił Pogranicze i osiedlił się gdzieś w strefie Głównego Nurtu. Podeszła do komputera i wystukała na klawiaturze nazwisko i imię byłego wykładowcy, a potem kod informacji adresowej. Po chwili znała odpowiedź.

Nie potrzeba było niczego więcej; natychmiast mogła przystąpić do wystukiwania listu. Pisała, że nigdy nie zapomni swoich studiów i wysłuchanych podczas nich wykładów Laurana. To od niego usłyszała po raz pierwszy o twórczości Pawła Bossyna. Na bliższe jej poznanie poświęciła całe ostatnie trzy lata. Jest zafascynowana; pragnie napisać książkę. Ale sam Bossy n, którego współpraca jest niezbędna — zdecydowanie jej odmówił. Czy Lauran nie mógłby go przekonać? — pytała. Czy potrafiłby jakoś na niego wpłynąć? Najusilniej o to prosiła. Skończyła pisanie. Pomyślała, że zgrabniej wypadnie, jeśli list będzie po francusku. Przetawiała na ten język programator interpretu. Na zieleń ekranu poczęła wypełzać nowa wersja jej słów: *Monsieur le Professeur, Je n'oublierai jamais...*

4.

Leżał nagi na chłodnym blacie metalowego stołu. Dziesiątki poprzyklejanych do jego ciała plastrów podtrzymywały końcówki przewodów, których dalsze części ginęły w półmroku wypełniającym pomieszczenie. Wiedział, że niedługo zaśnie. Temu, co miało wtedy nastąpić, nadawał postać baśni: z każdego przewodu wyjdzie maleńki człowieczek. Będzie nosił ubranie tego samego co przewód koloru. Skupiony i poważny zagłębi się w przewidziane dlań miejsce — w płuco, w nerkę czy w serce. Wydobędzie mikroskopijną latarkę i zacznie oświetlać nią jego wnętrze, równie drobnym jak latarka młoteczką opuka ścianki narządów, a na koniec zapisze wszystkie spostrzeżenia w notesiku. Potem...

— Panie profesorze! — usłyszał, a równocześnie czyjaś dłoń delikatnie poklepała go po policzkach. — Panie profesorze!

Otworzył oczy i zobaczył pochylającą się nad nim młodą i ładną twarz lekarki.

— Już po wszystkim, panie profesorze — powiedziała. — Proszę się ubrać i przyjść do mojego gabinetu. Z pewnym wysiłkiem wciągnął flanelową koszulę i wytarte levisy. Po raz tysięczny pobłogosławił w duchu wynalazców zatrzasków i zamka błyskawicznego; guziki i dziurki stanowiłyby już chyba zbyt wielką przeszkodę dla jego zgrubiałych i coraz sztywniejszych palców. Założył sandały. Na gołe stopy, bo nigdzie nie mógł znaleźć skarpetek. Dopiero po zapięciu rzemyków przypomniał sobie, że rozbierając się do badania upchał je w tylnej kieszeni spodni. Oczywiście! Były na miejscu. Ale brakło mu cierpliwości, by znowu się schylić i zacząć od początku. Machnął ręką i poczłapał do gabinetu lekarki.

Siedziała za białym biurkiem. Uśmiechnęła się i wskazała mu stojący naprzeciwko fotel.

— Tak, panie profesorze... — zaczęła z tym samym uśmiechem na ustach. — Tak... Wiemy już wszystko: zostało panu siedemset sześć dni.

— To pewne?

— Najzupełniej. Porównaliśmy dzisiejsze badania z wynikami wcześniejszych testów. Jakikolwiek błąd jest wykluczony.

Aż dwa lata, pomyślał, albo zaledwie dwa... W jego twarzy musiała zajść jakaś zmiana, bo wzrok dziewczyny nabrał nagle zawodowej przenikliwości.

— Pan się źle czuje, panie profesorze? — zapytała. Zaprzeczył ruchem głowy. Równocześnie ogarnęła go złość. Wyprowadziła go z równowagi własna nieporadność w ukrywaniu uczuć.

— Podałam panu wynik, bo sam pan o to prosił. Podpisał pan oświadczenie...

— Tak, tak... oczywiście... — mruknął i zaczął podnosić się z fotela.

— Jeśli uzna pan... — zawahała się — ...że zasługujemy na pańskie zaufanie, to zrobimy wszystko, by ułatwić panu... — znowu się zawahała — ...ten trudny moment. Wystarczy powiadomić nas nieco wcześniej...

— Tak, tak... oczywiście... — powtórzył. — Do widzenia!

Wolno idąc nadmorskim bulwarem próbował odnaleźć się w nowej sytuacji. Siedemset sześć

dni, myślał, a potem nieodwołalny koniec. Rzecz jasna, jeśli już wcześniej coś mi się nie przydarzy. Zrobiono bardzo wiele, by usunąć z naszego życia przypadkowe zagrożenia, ale jakieś prawdopodobieństwo istnieje przecież zawsze... Za siedemset sześć dni precyzyjne urządzenie, jakim był jego organizm, miało się całkowicie zużyć. Popsuć się ostatecznie i odmówić działania na zawsze. Moment wyliczono z najwyższą dokładnością i żadna ziemską siła nie mogła już odwrócić wyroku. *Mane thekel fares*. Nie musiałem poddawać się tym badaniom, myślał, mogłem do końca trwać w nieświadomości, żywić złudzenia... Ale jednocześnie rosło w nim przecucie, że informacja, którą dziś uzyskał, nie będzie wcale źródłem rozpaczy i lęku. Musiał teraz wybierać. I raz wreszcie ze spokojnym sumieniem wybrać mógł to, co tkwiło u sedna jego najgłębszych pragnień, co naprawdę było dlań dostatecznie cenne, by bez reszty wypełnić jego kończący się czas. Uczzone rozprawy o sztuce dawnej i najnowszej, które kiedyś napisał, akademickie tytuły, które mu nadano, rozgłos i popularność, jakimi się cieszył — znaczenie tego wszystkiego skurczyło się nagle jak balonik, z którego uszło powietrze. Kreta, myślał, jak najprędzej muszę się dostać na Kretę...

Obrócił głowę ku morzu i w niewielkiej odległości od brzegu spostrzegł majestatycznie sunącą pod pełnymi żaglami fregatę. Na bezanmaszcie łopotała czarna flaga; korsarze powracali do którejś z enklaw na Karaibach. Po pokładzie kręciło się kilku malowniczo odzianych mężczyzn, którzy najwyraźniej czynili wszystko, by nie spojrzeć w stronę lądu. Uśmiechnął się; żyć w enklawie i być zmuszanym do ciągłego zderzania się z rzeczywistością Głównego Nurtu — to nie miało najmniejszego sensu. Kreta! Na Krecie działo się zupełnie inaczej. Pamiętał doskonale owe dni, kiedy przybył tam po raz pierwszy. Był jeszcze bardzo młody. Zaledwie rok albo najwyżej dwa lata mijały wówczas od chwili, gdy Grigoriosowi Spathopulosowi IX udało się doprowadzić do ukoronowania dążeń kilku pokoleń jego potężnego klanu i rozciągnięcia enklawy na cały obszar wyspy. Wytyczono strefy ochronne; nigdy nie miał już nad tym obszarem przelecieć żaden samolot, żaden statek odbiegający kształtem od tego, na którym żeglował Odyseusz, nie miał przepłynąć w odległości mniejszej niż dziesięć mil morskich. W wielkich kontenerach wywożono wszystko, co nawarstwiły wieki. Zostawała goła ziemia. Pracownicy kamieniarze, którym służył radą jako konsultant, od podstaw poczynali dźwigać pałace w Mallii i Tylisos, w Knossos i Fajstos. W miejscu wykopalisk rekonstruowano labirynt; coraz więcej spotykało się takich, którzy słyszeli nocą ryk Minotaura.

Teraz sprawy zaszły na pewno dużo dalej, myślał. Spathopulos ledwie już chyba pamięta, że był kiedyś kim innym niż królem i najwyższym kapłanem. A może zdążył zająć to miejsce jego syn? Urodziły się i dojrzały dwa pokolenia, dla których świat zamknął się między górami Leukoj i Dikti, między wodami na północy i na południu. Pokolenia te nic nie wiedziały o Głównym Nurcie i o Pograniczu; dalekie lądy pogrążały się dla nich w odmętach coraz mniej jasnych mitów. Wśród należących do tych pokoleń ludzi nie mogło być takich, co kaleczyliby piękny, stary język. I takich, co powiedzieliby choć jedno słowo po francusku czy po angielsku... Tak, myślał, tam musieli już skończyć z udawaniem życia sprzed tysięcy lat; oni zaczęli żyć tym życiem naprawdę. Czy można sobie wyobrazić coś wspanialszego?

Pogrążony w rozmyślaniach nie spostrzegł, kiedy znalazł się przed drzwiami swego domu. Nie miał już właściwie żadnego powodu, by tutaj wracać. Nie zabierał stąd niczego. Łącznicy Spathopulosa działający na Pograniczu — w Koryncie albo w Pireusie; nie był jeszcze pewien, jak ich odnajdzie — dostarczą sięgający kostek chiton, jaki przystoi ludziom jego wieku, dadzą mu himation i sandały. To wszystko, czego będzie mu potrzeba, gdy jakiejś księżycowej nocy przybędzie

do najbardziej odludnego zakątka peloponeskiego wybrzeża i wkroczy na pokład okrętu, u którego burt siedzieć będą muskularni wioślarze...

Stał przed drzwiami własnego domu i wahał się: wejść?, nie wejść? Wreszcie podjął decyzję: odwrócił się na pięcie i ruszył ku najbliższej stacji metra. Rozpoczęła się jego ostatnia długa podróż.

W pamięci domowego komputera na zawsze miał pozostać nie przeczytany list od byłej studentki — Belli Hunt.

5.

Obudził się wśród zupełnych ciemności, w samym środku nocy. Wypełniało go uczucie dręczącego niepokoju. Był pewien, że przyniósł je dopiero co urwany sen, chociaż w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć jego treści. Potem przemknęło mu przez głowę, że niepokój może mieć i inne, do realnego świata należące źródło. Co kryło się właściwie za przyspieszonym, nieregularnym rytmem jego serca i dreszczami obiegającymi czaszkę: strach?, żal za czymś?, poczucie winy? Nagle przypomniał sobie dziewczynę, która odwiedziła go poprzedniego dnia. Czyżby i ona mogła mieć udział w jego obecnym stanie? Rozważył dźwięczącą mu jeszcze w uszach rozmowę, którą odbyli. Przywołał przed wewnętrzną okno gesty i grymasy, jakie robili wówczas oboje. Wyraźnie widział teraz to, co majaczyło mu i przedtem — że nie był w stosunku do dziewczyny szczerzy. Przesadzał w demonstrowaniu swego zamknięcia się w sobie, nieprzystępności i wyjałowionego z odrobiny ciepła opanowania. A na dodatek czynił tak na przekór prawdziwym, w samej głębi jego psychiki tkwiącym uczuciom. Poddawał się jakiejś naskórkowej, w gruncie rzeczy nie chcianej, przeciwko niemu samemu obracającej się przekorze. Wiedział, skąd się brała; wciąż nie wybaczył sobie poniesionej klęski. Odpychając dziewczynę — karał samego siebie. Nie, nie zależało mu na książce o jego twórczych poczynaniach; pragnienie uznania masowej publiczności rzeczywiście od dawna go opuściło. Ale rozmawiać o dotykowcach i tunelach, o swojej drodze ku nim, o bezradności i zagubieniu, jakie ogarnęły go u jej końca — chciał bardzo. Z kimś, kto znałby jego prace. Komu dana byłaby zdolność szczególnego przeżywania niektórych doznań zmysłów. Dla kogo tuszyzm oznaczałby coś ważnego. Z kimś takim, jak Bella Hunt. Wyobraził sobie, że dziewczyna nie odjechała i leży teraz obok niego. Przez zamknięte powieki patrzył z bliska w jej wynurzającą się z mroku twarz. Nie poruszając wargami opowiadał jej o zdarzeniach sprzed lat. Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, mówił, to pewnie zabrzmiało dziwnie, ale często wydaje mi się, że wszystko, co zdołałem zrobić, było mi przeznaczone. Kiedyś nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale teraz widzę zupełnie wyraźnie, że całe mnóstwo drobnych epizodów spełniło w moim życiu rolę znaków; prowadziły mnie, zmuszały do wybierania takich, a nie innych dróg. Od czego to się zaczęło? Nie jestem pewien. Chyba już w dzieciństwie spotkała mnie przygoda, która zapowiadała przeżycia o wiele późniejsze. W czasie szkolnej wycieczki zwiedzałem jakąś starożytną budowlę. Była tam wieża, na którą wchodziło się po setkach drewnianych stopni. Wzdłuż drewnianej poręczy. Przez większą część podejścia owa poręcz nie była niezbędna, ale w parunastu miejscach schody ostro zakręcały i tam każdy wchodzący przytrzymywał się jej niemalże odruchowo. Miliony dotknięć sprawiły, że właśnie tam w mocnej, dębowej belce, z której przed stuleciami zrobiono poręcz, powstały wgłębienia, łagodne zakłębienia o wypolerowanej, niepokojąco gładkiej powierzchni. Doszedłem tylko do trzeciego czy czwartego zakrętu. Położywszy dłoń na lśniącym drewnie po prostu nie mogłem już jej oderwać. Coś nakazywało mi przesunąć ją tam i z powrotem, przyciskać, opuszkami palców wpierać w oporny materiał... Na mgnienie opanowało mnie niesamowite uczucie głębokiej więzi z tymi, co przeszli

tędy przede mną — przed rokiem, przed dziesięcioleciem, przed setkami lat... Wydało mi się nawet nagle, że ich widzę: wszystkich naraz, przenikających przez siebie nawzajem, w tę dziwną jedność wchłaniających i mnie. Wszystko nie trwało dłużej niż ułamek sekundy, ale doznania były tak intensywne, że miałem je zapamiętać na zawsze.

I przez całe lata w jakiś sposób do nich tęskniłem; do tego olśnienia, tego dreszczu, tego poczucia przekroczenia ram samego siebie. Może właśnie ta tęsknota była przyczyną, dla której wziąłem się za budowanie dotykowców? Kto wie?

Wciąż wyobrażał sobie jej oczy: utkwione w nim, uważne, sygnalizujące stan najpełniejszego zasluchania. Opowiadał dalej. Opuszczając prawie dwa dziesięciolecia przeskoczył do awantury, którą wywołał na krótko przed swoim pierwszym wyjazdem na Pogranicze. Na pozór zachował się wtedy absurdalnie, doprowadził do tego, że bliscy mu ludzie powzięli wątpliwości co do stanu jego umysłu. A przecież był to dla niego moment przełomowy. W jego dzikim, historycznym wybuchu kryło się przecucie przyszłego dzieła. Dojrzewałem do tego przez cały dzień, mówił, od samego rana, bez żadnego specjalnego powodu, rosło we mnie napięcie. „Aquarius”, komuna artystów, do której należałem, organizowała kolejny happening. Myślę, że nasza rola nie różniła się wiele od tej, jaką i dziś przeznacza się artystom w Głównym Nurcie; mieliśmy bawić, w unormowane, pracowite życie większości współobywateli wnosić powiew marzeń i łagodnego szaleństwa. Doskonale pamiętam, co wymyśliliśmy na ten upalny, letni dzień: przetoczenie główną promenadą naszego miasta ogromnej kuli z lodu. Była bardzo kolorowa, bo mrożono ją tak, jak włoskie lody — warstwami, z których każda zawierała inny barwnik.

Kiedy ruszaliśmy, lód zaczął topnieć i na asfalt spłynęły węzowo powyginane, tęczowe smugi. Biegliśmy śpiewając jakąś wariacką piosenkę, za nami ciągnęła chmara dzieci, przechodzący mimo dorośli zatrzymywali się, wytrzeszczali oczy i wybuchali śmiechem, a niektórzy nawet nas oklaskiwali. Chyba wszyscy byli z nas zadowoleni; robiliśmy dokładnie to, co do nas należało.

Ale ja nie potrafiłem prawdziwie wziąć udziału w tej powszechnej radości. Jak już mówiłem — od rana byłem rozdrażniony, czułem, że coraz mocniej napina się we mnie twarda, naładowana agresją sprężyna, która prędzej czy później będzie musiała pęknąć. Kiedy resztką kuli rozsypała się na mnóstwo barwnych, natychmiast porwanych przez dzieci okruchów, jeden z uczestników happeningu zaproponował, by zabawę z lodem uczcić pójściem na lody. Wszyscy z chęcią na to przystali i w chwilę później siedzieliśmy już w małej kawiarni. Była taka sama jak tysiące innych tego typu miejsc: jedną ze ścian w całości pokrywał migotliwy ekran, z ukrytych po kątach głośników płynęła ściszone muzyka, w której rytmie rozjaśniały się i przygasały kolorowe światełka nad barem, w powietrzu unosiły się aromaty kawy, egzotycznych przypraw i perfum, powleczone gładką materią foteliki miękko dopasowywały swój kształt do sylwetek siedzących w nich gości, a podawane w srebrnych pucharkach lody kryły mnóstwo trudnych do rozszyfrowania ingrediencji. Możesz to sobie wyobrazić? Prawda, że całkiem miły lokalik? A przecież ja czułem się coraz gorzej. Barwy i obrazy drażniły mój wzrok, nieustanna obecność dźwięków niepokoila słuch, śliskie i zarazem gąbczaste w dotyku meble budziły wstręt, od bezliku atakujących powonienie zapachów drapało mnie w gardle, a od wspaniałych lodów cierpł mi język i zacierał się smak. Wydawało mi się, że wszystkie moje zmysły grzęzną w jakiejś paskudnej wacie, że całe to otoczenie — stworzone przecież z myślą o komforcie i dobrym samopoczuciu tych, którzy będą z niego korzystać — jest lepką, zniewalającą pajęczyną, przez którą nie przedostanie się nic prawdziwego. Opanowało mnie nagle przemożne, niepokonane pragnienie wyrwania się z pułapki, odczucia czegoś, co nie byłoby takie ładne, subtelne,

miłe, pachnące, smaczne... i takie otumaniające, oblepiające, usypiające... W pierwszym odruchu z wyciem rzuciłem się do wielkiego ekranu.

Naprawdę chciałem go stłuc! Nic z tego — odbiłem się tylko od gładkiej powierzchni. Pamiętam też, że w chwilę później próbowałem rozedrzeć obicie jednego z fotelików i połamać stół... W końcu udało się mnie obezwładnić. Koledzy kolanami przyciskali do podłogi moje nogi i ręce, któraś z dziewczyn ciągnęła mnie za włosy, a ja wrzeszczałem coś o zdradzie sztuki, o wyłączonych zmysłach, o niezdolności ludzi do odbierania wrażeń... Ktoś z nich nie wytrzymał i odkrzyknął, że jeśli tak bardzo nie podoba mi się w Głównym Nurcie, to mogę wyjechać na Pogranicze. Skorzystałem z tej rady. W miesiąc czy dwa po awanturze zerwałem z „Aquariusem” i wyruszyłem w drogę do Paryża. To samo co w dwadzieścia lat później zrobiłaś ty...

Bezdźwięczna rozmowa z nieobecną bardzo go uspokoiła. Wpatrywał się w jej oczy i właściwie nie pamiętał już mglistych koszmarów, które dręczyły go przed kwadrans. Nie zauważył, kiedy na nowo zapadł w sen.

6.

Nie wydając żadnego dźwięku i bez najmniejszych wstrząsów szynowiec gnał po prostej wytyczonej przez wybrzeże Zatoki Kalifornijskiej i masyw Sierra Madre. Nie zatrzymawszy się ani razu, w trzy kwadransy przebył odcinek Yuma–Hermosillo. Dopiero za Guaymas stacje stały się częstsze; co kilka minut większość pasażerów zrywała się ze swoich foteli i wybiegała na peron, a ich miejsce zajmowali nowi — po to tylko, by z kolei nieco dalej oddać je następnym. Pomyślała, że właściwie nie odczuwa tych nieustannych zmian. Wszyscy wsiadający i wysiadający byli bardzo podobni do siebie: młodzi, zgrabni, ubrani w wygodne, sportowe stroje i prawie jednakowo — jedynie w zależności od płci nieco dłużej lub krócej — ostrzyżeni.

Wszyscy też nosili na lewej piersi okrągłą plaketkę wyobrażającą stylizowane fale szerokiej rzeki i sterczący pośród nich złoty stożek. Identyczne symbole widniały na obleczeniach foteli w szynowcu, na szklankach, w których podawano napoje, i na wielkich tablicach reklamowych gęsto ustawionych wzdłuż całej trasy. „Mainstream Products” — głosiły złote litery nad stożkiem.

Z ciekawością patrzyła przez okno, bo wiele słyszała o tych okolicach, ale oglądać ich nie miała jeszcze okazji. Po przeciwległej stronie peronów, przy których hamował szynowiec, sunęły taśmy ruchomych chodników. To tędy młodzi ludzie udawali się na stanowiska, z których nadzorowali pracę wytwórni zagrzebanych głęboko pod stopami gór. To oni, współcześni Cyklopi czy też Nibelungowie, wydobywali i przetwarzali skarby ukryte w trzewiach globu, w postaci gotowej dostarczali milionów najróżniejszych towarów, które zdążyły sobie wywalczyć miejsce na rynku, a także produkowali narzędzia i elementy, dzięki którym w niezliczonych, na całym obszarze Głównego Nurtu rozsianych warsztacikach pracownicy zapaleńcy mogli poszukiwać wciąż nowych i nowych konstrukcyjnych rozwiązań, przerzucać się od wynalazku do wynalazku...

Odruchowo odwróciła głowę ku morzu. Tam po drugiej stronie wielkiej wody — wzdłuż wybrzeży Kamczatki, Wysp Kurylskich, Hokkaido, Honsiu i Kiusiu, a dalej wzdłuż całych Filipin, Nowej Gwinei i u podnóża australijskich Gór Wododziałowych — biegła identyczna linia szynowca i kryły się w podziemnych grotach identyczne wytwórnie. Tyle że tam nazywało się to wszystko nie „Mainstream Products”, lecz „Pacific Goods”. Nie wiedziała, czy dwie potęgi konkurują ze sobą, czy też zgodnie współdziałają jako filie jednego przedsiębiorstwa. Tego nie wiedział nikt.

Tuż przed Culiacan szynowiec prawie zupełnie opustoszał. Kiedy zmysłowy, kobiecy głos obwieścił przybycie do końcowego przystanku, na peronie pojawiło się nie więcej niż dziesięć osób. Głos dodał jeszcze, że udający się na dłuższy pobyt w enklawie winni podążać ku wyjściu wzdłuż linii zielonej, a ci, którzy pragną przejechać przez miasto tranzytem i przesiąść się do szynowca w kierunku Mazatlan i Manzanillo, muszą pójść korytarzem oznaczonym na czerwono.

Już w korytarzu, gdy jej kroki głucho zadudniły na metalowych płytach podłogi, zorientowała się, że jest sama. W chwilę później weszła do niewielkiego pomieszczenia, w którym za pulpitem siedział mężczyzna w służbowym uniformie personelu szynowców. Ruchem ręki dał jej znak, by się

zatrzymała.

— Tak pani nie pojedzie — powiedział. Przekręcił się na obrotowym fotelu i ze stojącej za nim szafki wyciągnął jakieś zawiniątko. Położył je na pulpicie i wtedy zobaczyła, że to długa, ciemnoszara peleryna, kapelusz z gęstą woalką i para nicianych rękawiczek.

— Proszę to na siebie włożyć — powiedział. — I nie zdejmować, póki nie znajdzie się pani po drugiej stronie miasta.

Przyglądał się jej uważnie, gdy spełniała polecenie.

Odczekał, aż zapięła ostatni guzik peleryny i zdołała, po długiej chwili nerwowego obracania kapeluszem, prawidłowo umiejscowić i spuścić na oczy woalkę.

Dopiero wtedy aprobująco skinął głową i wskazał wyjściowe drzwi.

— Proszę pamiętać, że to enklawa pierwszej klasy — dorzucił jeszcze, gdy skierowała się już we wskazaną stronę. — Proszę postarać się tego nie psuć.

Z zewnątrz punkt kontrolny i zarazem przebieralnia okazał się pomieszczeniem na zapleczu małego sklepiku ze starzyzną; zamknąwszy za sobą drzwi spostrzegła umocowaną na nich tabliczkę: „Magazyn. Obcym wstęp wzbroniony”. Zasłonięty płachtą gazety i najwyraźniej głęboko pogrążony w lekturze sprzedawca nawet nie odwrócił ku niej głowy. Za to ona, mimo przeszkadzającej jej trochę woalki, mogła wyraźnie dojrzeć umieszczoną poniżej tytułu datę wydania dziennika — 29 września, XIX wiek. Właśnie dokładnie taką: „29 września, XIX wiek”.

Wyszła na ulicę. Ledwie stanęła na skraju chodnika, już podjechał do niej pojazd poruszający się dzięki biegnącemu przodem karemu konikowi. Zajęła miejsce na szerokiej kanapie, z widokiem na plecy woźnicy.

Spróbowała sobie przypomnieć, jak nazywa się to, w czym przyszło jej kontynuować podróż. Przez parę chwil kołatało się jej po głowie i niemalże spływało na język coś brzmiącego między „fakir” i „fiat”, ale ostatecznie potrzebny wyraz nie dał się pochwycić.

Konik zwawo pobiegł przez miasto, a ona z zaciekawieniem zaczęła rozglądać się wokół siebie.

Przygotowana była na to, że znajdzie się w świecie odmiennym od Głównego Nurtu i nawet od Pogranicza, a przecież i tak raz za razem ogarniało ją zdumienie; zupełnie jak Alicję po przejściu do pokoju z drugiej strony lustra. Przede wszystkim uderzył ją panujący tutaj hałas: stukały o bruk ciężkie kopyta perszeronów i łomotały na nierównościach wleczone przez nie platformy, dudniły i zgrzytały przeraźliwie jakieś maszyny, wyły syreny i zawodziły parowe gwizdki.

W powietrzu unosiły się wonie, których nie znała, dymy i pył, jakimi było przesycone, drażniły ją i dławily. Wśród przechodniów przyciągali jej wzrok ci, których odzienie stanowiło zaledwie cień kreacji wyobrażonych zwykle na rysunkach w książkach o dawnych ubiorach; raziło ubóstwem, zniszczeniem i brudem. Ubogie i brudne były także fasady większości mijanych domów, restauracje i tancbudy, sklepiki i uliczne stragany. Nie, stanowczo nie pojmowała tego miejsca. Na Pogranicze uciekano dla jego spokoju; przed szalonym tempem życia i nieustanną zmiennością Głównego Nurtu. Do enklaw związanych z barwnymi, najpiękniejszymi okresami historycznymi udawano się ścigając własne marzenia. Ale czego można było szukać tutaj? Co mogła ofiarować zrekonstruowana młodość przemysłowego molocha? Nie pojmowała również pieczołowitej opieki, jaką sprawowała nad tą enklawą firma „Mainstream Products”. Czy pragnęła uświadamiać swoim pracownikom, jak wyglądałoby ich życie, gdyby przypadkiem przyszli na świat odpowiednio wcześniej?

Właściwie w jakim celu miałyby to robić? Nie potrzebowała dobrego samopoczucia swoich pracowników, bo nie potrzebowała ich samych; komputery i roboty od dawna były przygotowane do

przejęcia pełnej kontroli nad produkcją. A pracownicy nie potrzebowali swojej firmy; nie trzymał ich w niej żaden przymus, w każdej chwili mogli odejść i zająć się czymś zupełnie innym. Komu i do czego potrzebna była w takim razie ta dziwaczna enklawa? Jaki sens krył się w tym wszystkim? Czula, że gubi się wśród tych zawilosci. Brak odpowiedzi na pytania, które sobie stawiała, nappełnił ją niepokojem przeradzającym się z wolna w poczucie zagrożenia. Odetchnęła z ulgą, gdy miasto Culiacan zostało wreszcie za nią, a w dalszą drogę poniósł ją kolejny szynowiec.

Wysiadła na stacji Corrientes. Wstąpiła na ruchomy chodnik i dotarła aż do samego końca jego biegu. Parę kroków dalej rozsunęły się przed nią przejrzyste drzwi, za którymi rozciągały się lśniące przestrzenie ogromnego holu. Na samym środku stało biurko. Siedziała za nim piękna, długowłosa dziewczyna z symbolami „Mainstream Products” na obu policzkach (na pierwszy rzut oka wyglądało to na tatuaż, ale po uważniejszej obserwacji okazywało się rysunkiem wykonanym szminkami). Zapytała ją, gdzie może znaleźć inżyniera Johna Wintera.

— Proszę iść za tym — odparła wyciągając z biurka gładką jak choinkowa bombka, jaskrawoczerwoną kulę. Położyła ją na podłodze, a sama szybkimi ruchami wskazującego palca nacisnęła kilka guziczków na wmontowanym w blat biurka pulpicie. Kula zaczęła się toczyć.

Lekko stłumione dudnienie mechanicznego przewodnika (podobne nieco do odgłosów, jakie płyną z torów kręgielni i z bilardowych stołów) mieszało się ze stukotem jej butów w nie kończąca się, jednostajną melodię. Jeden po drugim przemierzała szerokie i zupełnie puste korytarze. Mimo zupełnego braku okien wszędzie było bardzo jasno; przesycone łagodną zielenią światło płynęło z całej powierzchni sufitu i ścian. Po minięciu kolejnego zakrętu kula wtoczyła się do rozległej jak hala sportowa pracowni. Pomiedzy kępami zieleni (głównie paproci, bluszczy i filodendronów) nieregularnie — miejscami rzadziej, a miejscami gęściej — rozstawiono biurka, stoły kreślarskie i komputery. Pograżeni dotąd w pracy młodzi ludzie podnosili głowy i odprowadzali ją wzrokiem. Do dudnienia i stukania dołączyły się skrzypnięcia obrotowych foteli i szelest potrącanych kalek, ale z niczyich ust nie padło nawet słowo. Kula zatoczyła jeszcze ostatni łuk i znieruchomiła u stóp mężczyzny, który najwyraźniej już wcześniej podniósł się zza swojego stołu i wyszedł na spotkanie.

— Dano mi znać, że pani tu idzie — wyjaśnił. — No i... czekam na panią...

Wydawał się starszy od pracujących wraz z nim ludzi. Był wysoki i bardzo szczupły. Lekko się garbił. W jego twarzy rolę dominującego akcentu odgrywał słusznych rozmiarów nochal (gdyby John Winter zechciał osiedlić się kiedyś w enklawie siedemnastowiecznych Francuzów — istniała taka na Pograniczu, w pobliżu Beauvais — nic nie uchroniłoby go przed koniecznością wcielenia się w Cyrana de Bergerac). Jeśli jednak organ powonienia panował nad tym obliczem fizycznie, to cały jego duchowy wymiar zagarnęły oczy — marzycielskie, a zarazem uważne, pełne mądrości, jaka płynie z doświadczeń, a przecież nie pozbawione młodzieńczego blasku. Tym razem postanowiła zmierzać prosto do celu: przedstawiła się, wyjawiała swoje plany związane z osobą i twórczością Pawła Bossyna, opowiedziała o nieudanym z nim spotkaniu.

— Och, więc chodzi pani o Paula... — mruknął Winter, gdy nazwisko artysty padło po raz pierwszy. — Strasznie dawno go nie widziałem...

Zdradziła, w jaki sposób dowiedziała się, że to właśnie do niego, do Johna Wintera, należało techniczne rozwiązywanie niektórych pomysłów Bossyna.

Zapytała, czy zechce jej opowiedzieć o odczuciach, jakie towarzyszyły tej pracy.

— A jakież ja mogłem mieć odczucia? — słowa podkreślił prychnięciem i wzruszeniem ramion. — Ja jestem technikiem, proszę pani. Paul mówił mi: jeśli poruszona zostanie ta szmatka, to w tym

miejscu temperatura powietrza ma spaść do zera. Albo: tutaj potrzebny mi ciepły wiatr... Więc montowałem, co było trzeba. To wszystko.

Jego ton był nieco żartobliwy, ale chyba nie maskował kłamstwa; pomyślała, że naprawdę musiał traktować zlecenia Bossyna całkiem po prostu jak najzwyklejsze ze swoich zadań. Ale przecież musiała coś z niego wydobyć! Nalegała, by się skupił i wyteżył pamięć. Chciała wiedzieć, czy zastanawiał się nad intencjami człowieka, z którym przyszło mu współpracować, czy go rozumiał?

— Wyglądam na takiego, który potrafi zrozumieć artystów? — teraz już najzupełniej otwarcie pokpiwał z jej zainteresowań. — Czy w ogóle warto starać się ich zrozumieć? Czy to nie strata czasu? Z rozpaczą spostrzegła, że ich rozmowa zmierza ku finałowi równie jałowemu jak ten, co zamknął jej spotkanie z Bossynem. Pragnąc ją za wszelką cenę podtrzymać, wciąż żywiąc nadzieję, że Winter powie w końcu coś istotnego, zapytała go, czy może zna jakieś sprawy, których zgłębianie stratą czasu by nie było.

— Oczywiście — spoważniał nagle i głęboko zaglądał jej w oczy. — Choćby nasza praca tutaj... Wie pani, co robimy? Wynalazki. Robimy wynalazki, ale nie dokonujemy odkryć... W ogóle nikt nie dokonuje już odkryć. Nie zastanawia to pani, że od ćwierćwiecza nie przyznano nikomu Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki, chemii i medycyny?

Po wahaniu krótszym niż mgnienie przyznała się, że nie miała pojęcia o honorowaniu Noblem dokonań w jakiegokolwiek dziedzinie poza literaturą.

— Otóż to! — jej słowa wprawiły go w stan zaczepnego ożywienia. — Należy pani do pokolenia, które nie potrafi już sobie nawet wyobrazić, że można by powiedzieć coś naprawdę nowego o działaniu organizmu człowieka czy o budowie Wszechświata. Wydaje się wam, że wiadomo już wszystko. Wymyślać nowe zabawki — to jedyne twórcze zajęcie, jakie dla was zostało... Zapytała, dlaczego sądzi, że jego własna sytuacja jest odmienna. Przecież i on zajmuje się wyłącznie wynalazkami. Niczym innym jak konstruowaniem nowych zabawek, które tak lekceważy...

— Ma pani rację. Nie różnię się od was — zrobił szeroki gest ręką, którym objął i ją, i młodych ludzi pochylonych nad projektami. — Ale może nie różnię się tylko pozornie? Bo ja wciąż chciałbym dowiedzieć się paru rzeczy. Na przykład: dlaczego wszystko się trzęsie? Rzuciła mu spojrzenie mówiące, że ostatnie słowa są dla niej najzupełniej niezrozumiałe.

— Tam dalej — wskazał za siebie, w kierunku gdzie musiały się znajdować wydrążone pod górami jaskinie. — W podziemnych halach produkcyjnych zainstalowano bardzo czułe sejsmografy. Od jakiegoś czasu wskazują, że wstrząsy skorupy ziemskiej trwają prawie bez przerwy. Za słabe, żeby je odczuć. Ale ciągle. Zresztą tak dzieje się nie tylko tutaj; tak jest wszędzie...

Powiedziała, że na pewno gdzieś można by znaleźć wyjaśnienie zjawiska.

— Nie. Nie można. Już próbowałem — w jego oczach pojawił się i zaraz wygasł dziwny błysk. — I nie ma nikogo, kto by zechciał poważniej się tym zająć. Wszyscy sądzą tak samo jak pani: że gdzieś to już wyjaśniono. Bezradnie rozłożyła ręce.

— Wiem. Nie o tym chciała pani ode mnie usłyszeć. Panią interesuje Paul... Ja naprawdę nie umiem pani pomóc — podniesieniem szeroko rozpostartej dłoni powstrzymał jej protest. — Ale powiem pani o kimś, kto wie dużo. I lubi mówić. Nazywa się Plant. Michael Plant. Mieszka w Nowym Jorku. Na Manhattanie.

Wykrzyknęła, że to absurd, że na Manhattanie nikt nie mieszka.

— Nikt poza nim — pochylił się nad kartką papieru. — Narysuję pani plan; z nim łatwiej pani trafi. Przyjęła kartkę. Podziękowała i skierowała się ku wyjściu. Do stukotania jej butów i do

stłumionego dudnienia czerwonej kuli znowu dołączyły się skrzypnięcia obrotowych foteli i szelest potracanych kalek.

7.

Ruchome chodniki niestrudzenie wyrzucały na peron szynowca wciąż nowe i nowe grupki pracowników „Mainstream Products”. Uwolniony się od rysownic i komputerowych pulpitych wszyscy odjeżdżali do swoich rozrzuconych wzdłuż wybrzeża domków. Tylko on jeden nie dał się porwać ludzkiej fali; zszedł do tunelu, z którego od dawna nie korzystał nikt oprócz niego (w rezultacie po trosze przywykł już uważać go za swoją prywatną własność, za część nawodnej rezydencji, ku której prowadził). U przeciwległego wylotu tunelu brało początek niedługie, betonowe molo. Na jego końcu przycumowana była łódź. Usiadł za sterem i uruchomił silnik. Po kilku minutach rozbijania dziobem sunących ku plaży bałwanów był w domu.

Kupił ten wielki ponton, gdy ostatecznie nabrał pewności o nieustannym drzeniu stałego lądu, o gorączkowych dreszczach przebiegających po skórze planety. Musiał przenieść się na wodę, bo na niepewnym gruncie mógł co najwyżej pracować, ale nie było mowy, by zdołał zasnąć. Przez długie noce przewracał się na posłaniu całym sobą odbierając nie zauważany przez innych niepokój skał, bez przerwy czując, jak setki i tysiące metrów pod nim wszystko napina się i rozpręża, skłębia i wyciąga, przybiera o milimetr i zaraz o milimetr cofa. W tym samym rytmie dygotały mu mięśnie i szczękały zęby. O! fale to było coś zupełnie innego. Przenikał je odwieczny spokój, nawet w największy sztorm nie gubiły majestatycznego, największych głębi sięgającego pulsu i w jednostajnym kołysaniu przynosiły ukojenie znękanym nerwom.

Ponton był naprawdę wielki; dość wielki, by pomieścić piętrową bryłę domu, przystań, a nawet ogród. Opuszczone na przybrzeżny szelf kotwice utrzymywały go wciąż w tym samym miejscu, ale w każdej chwili można je było podnieść, a wtedy zaczęłyby dryfować pod wpływem fal i wiatrów, pozęglowałyby tam, dokąd prowadzą szlaki morskich prądów. Współpracownicy „Mainstream Products” pokpiwali z tej jego nawodnej posiadłości określając ją mianem „Winter’s Ark”. Myśleli, że o tym nie wie, ale on dawno podsłuchał jedną z ich rozmów. Nie poczuł się dotknięty; przeciwnie — nazwa bardzo mu się spodobała. Arka, pomyślał wtedy, oczywiście że arka. Nie przyznał się nikomu do wykrycia tajemnicy i nigdy nie wymawiał tej nazwy głośno, ale w myślach zdarzało mu się posługiwać nią coraz częściej.

Nie mieszkał na pontonie sam. Od pewnego czasu dzielił swój mały świat z dwiema kobietami i dzieckiem (nie był jego ojcem, ale ono nie wiedziało o tym). Tę, która była matką, przywiózł z jednej ze swych wypraw na Pogranicze. Druga kobieta — dziewczyna właściwie, bo nie miała jeszcze nawet dwudziestu lat, a wyglądała na szesnaście — zatrzymała się tutaj po porzuceniu jakiejś całkiem zwariowanej enklawy na Revilla Gigedo (pierwszego wieczoru, kiedy jej łódź przypadkowo dotarła do pontonu, w ogóle nie chciała mówić o tym, co pozostawiła za sobą, a i później, gdy już osiadła na dobre, też nie lubiła wspomnień). Przyzwyczyił się uważać, że stanowią rodzinę. Może niezupełnie typową; w Głównym Nurcie nie spotykało się już prawie typowych rodzin, ale zgodną i trwałą. On w każdym razie czuł się odpowiedzialny za ten skrawek życia niczym przedpotopowy

patriarcha.

Najprzyjemniejsze były ciepłe wieczory, kiedy cały dom pogrążał się w sen, a on samotnie siadał na deskach pomostu i zanurzał stopy w wodach oceanu. Czasami obmyślał szczegóły projektów, nad którymi akurat pracował. Kiedy indziej nie poświęcał uwagi niczemu szczególnemu, lecz pozwalał myślom gonić za skojarzeniami, swobodnie szybować od bezmiaru fal ku bezlikowi gwiazd. Niekiedy zdarzało się również zanurkować we wspomnieniach.

Właśnie dzisiejszy wieczór nieuchronnie musiał stać się jednym z tych wypełnionych przeszłością. Wiedział o tym od chwili, kiedy dziwna dziewczyna pożegnała się i odeszła z jego pracowni (nawet nie zapamiętał jej nazwiska, a z imienia pozostało mu w uszach jedynie końcowe „-lla”; czy to była Stella? Lilla? Gizella?). Za jedyny cel stawiała sobie rozgryzienie do końca dotykowców Paula, wniknięcie w sedno jego motywów i intencji. Zabawne! Przecież i on od lat przyłapywał samego siebie na identycznym pragnieniu! Przecież nie raz i nie dwa podejmował porządkowanie emocji i refleksji związanych z osobą Bossyna. To były tytaniczne próby. I zawsze jednakowo bezskuteczne.

Wcale nie kłamał, gdy starał się ją przekonać, że on, John Winter, nie potrafi zrozumieć artystów. Jedyny, którego naprawdę blisko poznał, nigdy nie przestał mu się wydawać nierozwiązalną zagadką.

Współpracował z Bossynem przez długie lata, a przecież w miarę upływu czasu wznoszący się między nimi mur nie malał, lecz nieustannie krzepł i stawał się coraz bardziej nieprzebyty. Z łatwością dogadywali się, gdy szło o sprawy drugorzędne — o należące do jego . obowiązków (zgodnie z zawartą między nimi umową) szczegóły natury technicznej. Ale o kwestiach istotnych myśleli odmiennie i mówili najzupełniej różnymi językami. Pragnął zawsze budować; każda rzecz, jaką zdążył zrobić, wydawała mu się fragmentem większej konstrukcji, elementem składowym, na którym spocznie następny. Nic dziwnego, że do każdego dzieła swoich rąk szczerze się przywiązywał. Bossyn był inny; parł naprzód ani razu nie odwróciwszy głowy, o wszystkim, co zdołał ukończyć, natychmiast zapominał. Rozpoczynając coś nowego widział w tym nieodmiennie swoją pierwszą i jedyną, niepowtarzalną szansę. Każde dzieło swoich rąk traktował jak próbę postawienia na białej, niepokalanej karcie wyrażającego pełnię znaku. Wreszcie pełnię! Koniecznie pełnię! W tej chwili nic, co było przedtem, ani nic, co miało nadejść kiedyś, nie miało dla niego znaczenia.

Ostatni okres ich współpracy był szczególnie intensywny. Bossyn miał już za sobą wszystkie doświadczenia z dotykowcami i urzeczywistniał nową ideę. Nazywał to sztuką wszystkich zmysłów, „penta-artem”, „pełnym przekazem”. Dzieła artysty nie wolno odbierać inaczej niż całym sobą, tłumaczył. To niedopuszczalne, by widz oglądający obraz naładowany grozą i pasją, na przykład wizję piekła jakiegoś Memlinga czy Walddorfera, równocześnie żuł miętową gumę i wdychał woń perfum!

Musi poczuć na języku smak piołunu, a w nozdrzach zapach siarki! Do tego dążę, rozumiesz?! Tym, którzy zdecydują się poznać moje najnowsze prace, nie zamierzam dać żadnej szansy na doznania zmysłów, które nie byłyby przewidziane przeze mnie. To, co ujrzą ich oczy, usłyszą uszy, poczuje skóra, posmakują usta, zwęszy nos — wszystko! — będzie zaprogramowane, zestrojone ze sobą podług mojej woli. Ale to, że zaatakuję wszystkie zmysły naraz, też mi już nie wystarczy. Chcę na ich zmysłach grać! Kiedy z gumą w gębie i w towarzystwie wytwornych dam oglądali w galeriach infernalne wizje, wszystkie ich doznania były zgodne z oczekiwaniami: w gębie mieli słodycz, w nozdrzach woń perfum, a przed oczyma grozę.

Dysonans między tym, co odbierał wzrok, i tym, co notowały smak i węch, właściwie do nich nie docierał; był oczywisty. Był przytłumiony i oswojony. U mnie nic im się nie będzie zgadzać! Nic nie będzie oczywiste i oswojone! Ich oczom pokażę płomień, a ich skórze dam odczuć, że ciągnie od niego mrozem, podsunę im pod nos bukiety róż, od których powieje odorem ścieków, z fletu wydobędę dla nich ryk alarmowej syreny, a z fortepianu artyleryjską kanonadę, będę ich muskać piórkami twardymi jak stal, poczęstuję czekoladą o smaku kredy... Nie będę oszukiwać ich zmysłów; to co zobaczą — zobaczą naprawdę, to co usłyszą — rzeczywiście usłyszą. Sprawię tylko, że sygnał dla oczu i sygnał dla uszu nie połączą się w banalną, znaną parę.

Za widokiem palca naciskającego klawisz fortepianu nie pójdzie dźwięk młoteczka uderzającego w napiętą strunę, lecz huk eksplozji. Za świstem pejcza nad uchem nie pójdzie piekący ból, lecz łaskotliwe muśnięcie.

W tym jest sedno całego pomysłu. W ten sposób będę przeczyć najoczywistszym skojarzeniom, zestawiając sygnały dla różnych zmysłów będę komponować najbardziej niedorzeczne paradoksy. I w końcu wyrwę ich z doznaniowych zbitek! Brutalnie rozbudzę w nich nową świeżość percepcji!

Nowa idea Paula Bossyna... Wielki artysta Paul... Cóż, jeśli podpisało się z nim umowę, trzeba było realizować jego polecenia. Więc realizował. Ale z początku czynił to zupełnie bez przekonania. Pomieszczenie, w którym według wskazówek mistrza (tak się niektórzy do Paula zwracali: „Mistrzu!”) instalował niezliczone urządzenia i aparaty, nazywał — oczywiście tylko na własny użytek, nigdy nie wymawiając owej nazwy głośno — „izbą tortur”. Wszystkich chętnych do poddania się penta-artowym praktykom z góry uważał za skończonych idiotów. Dopiero z czasem dał się przekonać i praca naprawdę go wciągnęła. Równocześnie pokazywać przestrzenne obrazy i odtwarzać kwadrofoniczne nagrania, dostarczać rekwizytów i kapsulek wypełnionych smakowymi esencjami, uruchamiać generatory bodźców dotykowych i źródła aromatów, zapewnić w każdej grupie sygnałów takie ich bogactwo, by dały się tasować jak karty nieprzeliczonej talii, zsynchronizować cały ten system i umożliwić sterowanie nim znad jednego pulpitu — to było całkiem ambitne zadanie. Z wolna poddawał się też entuzjazmowi Paula.

Może rzeczywiście człowiek, zanurzony w obfitości atakujących wszystkie jego zmysły, różnorodnych, skłóconych ze sobą i wciąż się zmieniających doznań, przekroczy jakiś próg? Może odnajdzie w sobie nową wrażliwość? Brał już nawet pod uwagę to, że na sobie samym pozwoli przeprowadzić pierwszy eksperyment.

Pracowali nad „izbą tortur” (czy też „penta-artowym pałacem”, bo tak zwykł określać swoje dzieło Bossyn) ponad rok. Po tym czasie coraz wyraźniej zaczęła się rysować szansa osiągnięcia celu; cały mechanizm działał sprawnie, rozwiązania wymagało już tylko kilka marginesowych problemów. I właśnie wtedy nadszedł dzień, w którym Paul nagle się zniechęcił, zupełnie nieoczekiwanie zmienił plany. Rozwalamy to wszystko, powiedział. Nie zważał na jego protesty, nie bardzo też chciał podawać uzasadnienia, cokolwiek dodatkowo wyjaśniać. Pomyliłem się, mówił tylko. Pragnąłem stworzyć coś, co poszerzałoby możliwości ludzkich zmysłów, co by je otwierało na przegapione dotąd sygnały. A wyszło mi coś odwrotnego — jeszcze jedna zabawka do zawracania ludziom w głowach, do tumanienia i usypiania. Wróciłem do punktu wyjścia.

Muszę to rozwalić. Nie dawał się odwieść od raz powziętego zamiaru, nie docierały do niego żadne argumenty. W pewnej chwili, gdy spór między nimi mocno się już przedłużał, Paul wpadł w szal. Z wyciem rzucił się ku ekranom, rwał kable i kopnięciami miażdżył nadajniki, zdemolował magazyn rekwizytów... Przestał dopiero wtedy, gdy się zmęczył; wcześniej nie można go było

powstrzymać. A czy można go było zrozumieć?

8.

Tego wieczoru w ogóle nie udało mu się zasnąć. Po godzinie przewracania się z boku na bok nie mógł już mieć żadnych złudzeń; czekała go długa, beznadziejna noc, w czasie której nie zmruży oka. Takie noce zdarzały mu się i wcześniej, ale wtedy nie czuł jeszcze ciężaru samotności. Bezsenność nie wiązała się z głodem bliskiej obecności kogoś drugiego, nie budziła pragnienia opowiadania temu komuś o swoim życiu i pracach. Nie próbował się oszukiwać; wiedział, że wszystko to zaczęło się od wizyty Belli.

Znowu wyobraził sobie, że dziewczyna została u niego, że jaśniejsza plama nad drugim krańcem posłania to jej wylaniająca się z mroku, zwrócona ku niemu twarz. Znowu wciągał ją w świat swoich opowieści — dodawał nowe szczegóły, przedstawiał alternatywne wersje zdarzeń, coraz szerzej odsłaniał własne wątpliwości i przemyślenia... Tylko dwa razy w życiu naprawdę wpadłem w szal, mówił, tylko dwa. Najpierw w czasach, gdy zaledwie mgliście przeczuwałem, czym się zajmę — pamiętasz — w tej kawiarence, po spektaklu z lodową kulą. A ponownie spadło to na mnie, gdy najważniejsze rzeczy miałem już poza sobą, gdy skończyłem z dotykowcami i nabiłem sobie głowę penta–artem.

I wiesz co? — w obu wypadkach sens mego wybuchu był identyczny, oba, mimo powierzchownych, drugorzędnych różnic między nimi, miały tę samą przyczynę. Wtedy gdy wprowadziłem w zdumienie przyjaciół z komuny — a uwierz mi, że nie należeli do takich, co łatwo się dziwią — wydawało mi się, że informacyjny szum i sztuczna skóra świata, na które jestem skazany, otepiają moje zmysły. Zamarzyła mi się sztuka, co mogłaby ludzkie zmysły na nowo uwrażliwić.

A wtedy gdy niszczycielskim rozmachem wzburzyłem inżynierski mózg nieszczęsnego Wintera, wiedziałem już, że tylko do otepiania zmysłów sprowadzi się rola moich własnych prac, że i one nieuchronnie muszą utonąć w wielkim zgiełku. Zresztą może dzisiaj nie może już być inaczej? Czy przypadkiem nie twarde, obiektywne prawo powoduje, że nawet najpoważniej traktując to, co się robi, z całych sił dążąc do wyciągnięcia czystej nuty, skazanym się jest na wydanie jednego z miliardów nic nie znaczących szelestów? Czy to sama statystyka nie jest twórcą powszechnej, nieogarnionej kakofonii? Ach, mniejsza z tym! W końcu to wszystko jedno, z jakiej przyczyny przegrałem. Ciekawsze są wewnętrzne wymiary tej klęski... Różne wymiary. Bez ich przeniknięcia nie odzyskam pełni spokoju, a niektóre wymykają mi się do dzisiaj. Wydaje mi się na przykład, że ta historia z dzieciństwa, wiesz — ta o wchodzeniu po schodach, o położeniu dłoni na wyslizganej poręczy i poczuciu więzi z tymi, co przeszli tamtędy wcześniej, no więc ta historia miała dla mnie chyba o wiele większe znaczenie, niż kiedyś chciałem przyznać. Był czas, że starałem się to brać za urojenie, za krótki sen na jawie — jeden z tych, którym tak chętnie ulegają dzieci.

Nawet na krótko przed rozpoczęciem prac nad dotykowcami widziałem w tym zdarzeniu co najwyżej dalekie i wcale nie najważniejsze źródło inspiracji, dowód na to, że już od dzieciństwa wrażliwość mojej skóry popychała mnie ku takiej właśnie twórczości. Ale potem coraz częściej

zdarzało mi się myśleć inaczej.

Zdarzało mi się wierzyć, że wtedy, przed laty, bytem przez mgnienie obdarzony szczególnym darem, niedostępną dla innych umiejętnością. Że wdarłem się na zamknięty przed innymi obszar poznania. Chciałem to odzyskać, rozwinąć, zapanować nad tym! I cóż — nie udało się... Okazałem się równie tępy jak wszyscy. I może właśnie to najbardziej mnie zabolalo...

Wyobraził sobie cień uśmiechu przemykający po jej wargach; na pewno dość miała poczucia humoru i zarazem delikatności, by tak przyjąć jego autoironię. Mógł jej ufać pod każdym względem. Mógł powierzać jej myśli, które wahałby się odkryć przed kimkolwiek innym, bez obawy mógł się przyznać do najdziwniejszych spośród swoich ambicji i rojeń. Zawsze miałem dość osobliwe poglądy na sztukę, mówił. Uważałem na przykład, że każdej z jej dziedzin przeznaczony jest osiągnięcie szczytu, a potem czeka ją już tylko staczanie się w dół. W pewnych okresach powolne, prawie niezauważalne. W innych — błyskawiczne. A w sumie — stałe i nieuchronne. Nieszczęście artystów tworzących w dziedzinach, które swój szczyt zdążyły minąć, polega na niemożności uwolnienia się od niego. Skazani są na to, by każdym swoim twórczym wysiłkiem jakoś do niego nawiązywać. Niezależnie od tego, co zrobią — czy będą się silić na naśladowanie go, czy ogłoszą i podniosą bunt przeciwko niemu, czy ostentacyjnie odwrócą się do niego plecami... On i tak zawsze będzie! Nie mają biedacy żadnych szans! Nie zrozum mnie źle: wcale nie twierdzę, że wszyscy, którym los wyznacza życie po czasach, do których należał szczyt, to artyści źli. Nie, nie... Mogą być wśród nich geniusze, mogą być tacy, co zdobędą nieśmiertelną sławę. Ale wysokości najwyższej z najwyższych już nie osiągną! Wiem, wiem — jesteś historykiem sztuki, specjalistą... Pewnie mogłabyś mi dowieść, że nie mam racji. Ale to niczego nie zmieni. Po prostu tak to widzę. Możesz mówić, co zechcesz, a ja i tak będę twierdzić, że już w dobie antyku minęła swój szczyt rzeźba. I że Mozart z Beethovenem najwyższą wywyżnęli muzykę. Malarstwo... Wiesz, w moim paryskim okresie chodziłem do Luwru i godzinami potrafiłem stać przed Leonardem. Nie, nie przed Mona Lisa — obraz najbardziej znany nie zawsze bywa najlepszy. Zresztą za duży tam tłok. Stawałem o dwa kroki w lewo od tajemniczego uśmiechu i od rozpychających się przed nim gapiów. No? Tak! *La Vierge, l'Enfant et sainte Anne*. Daj spokój! — czy ktokolwiek później tak malował? W tym samym Czasie może Rafael... Ale później?! Zostawmy to już.

Mówiłem o tym wszystkim tylko dlatego, że chcę, byś dobrze zrozumiała, skąd się wzięły cele, jakie sobie stawiałem, w czym upatrywałem sens moich własnych twórczych poczynań. Kształcono mnie tak, jak kształci się każde dziecko, u którego AAC wykaże artystyczne predyspozycje — wszechstronnie. Ale wśród wielu dróg, jakie mi wskazywano, nie było takiej, co by mnie naprawdę pociągała. Od pierwszych samodzielnych prób — i tych z pędzlem czy dłutem, i tych ze skrzypcami czy fotograficzną kamerą — miałem poczucie rozpaczliwej wtórności tego, co robię. Dość wcześnie zacząłem rozglądać się wokoło szukając sztuki, w której wspinaczka ku szczytom nie osiągnęła kresu, w której ramach można by jeszcze dokonać czegoś naprawdę ważnego... Powiesz może: chora ambicja, megalomania... Ale który artysta nie cierpi przez swoją ambicję i nie jest megalomanem? Jeśli nawet mój stan był gorszy niż w większości wypadków, to tylko odrobinę... A dokąd moje poszukiwania mnie doprowadziły — wiesz sama: oddałem się bez reszty sztuce dotyku. I co wynikło z tego, że zostałem tuszerem — też wiesz: sięgnąłem po pozycję najwybitniejszego z fuszerów, moimi tunelami dotknąć wyznaczyłem apogeum tuszizmu. Przecież w końcu to jest przyczyna, dla której tutaj przyjechałaś, fakt, dzięki któremu w ogóle o mnie mogłaś usłyszeć. Można by powiedzieć, że przyciągnął cię mój sukces. Tylko widzisz — klęska przycupnęła i za nim. Zdałem sobie z tego

sprawę, gdy ukończyłem najdłuższy mój tunel — znasz go, wspominałaś o nim — i przerzuciłem się do penta-artu. Wtedy gdy Winter dopracowywał dla mnie ostatnie instalacje, zrozumiałem nagle, że zbliżam się do jakiegoś straszliwego końca sztuki. Dzieło przemawiające równocześnie do wszystkich zmysłów, apelujące do umysłu, do zdolności kojarzenia i wyobraźni, absorbujące całego człowieka — ale co dalej? Przecież zaproponować więcej to niemożliwość: możliwości zostały wyczerpane! Przestraszyłem się tego... Mówiłem ci... przedtem... mówiłem ci, że po raz drugi wpadłem w szat, bo przestałem wierzyć, by moja sztuka mogła wyzwolić i rozwinąć sensualną wrażliwość człowieka... Tak samo tłumaczyłem się przed Winterem... Ale tak naprawdę myślę czasem, że tym drugim razem powodował mną tylko strach. To jest największa klęska: marzyć o szczycie, a zdobywszy go — ujrzeć kres drogi. Po prostu — koniec. Koniec...

9.

Już od trzech kwadransów kręciła się po wyludnionym mieście; pismo Wintera było dość niekształtne i nie zdołała rozstrzygnąć, czy ulica, którą narysował na swoim planie, ulica łącząca Pierwszą Aleję z Lexington Avenue, nosi numer 42 czy 47. W rezultacie musiała przemierzyć obie. Smugowiec pozostawiła na brzegu East River, pośród dzikich gąszczów, w jakie rozpleniła się roślinność Ogrodu Narodów Zjednoczonych. Czterdziestopiętrowy wieżowiec, który mieścił niegdyś sekretariat najważniejszej z międzynarodowych organizacji, straszył oczodołami wytłuczonych okien i liszczem brudnych zacieków na marmurach ścian. Na dziedzińcu z pordzewiałych masztów zwisały strzepy flag.

Z całą pewnością słyszała kiedyś teorię wyjaśniającą, dlaczego pewnego dnia mieszkańcy Nowego Jorku gwałtownie porzucili swoje siedziby i teraz, ślizgając się wzrokiem po ścianach mijanych budynków, próbowała ją sobie przypomnieć. Ale w żaden sposób nie mogła dotrzeć do istoty rozumowania... Dochodząc do budynku Chryslera (wyglądał jak gigantyczna, za niepamiętnych czasów przygotowana do startu i nigdy nie odpalona rakietka) zdecydowała, że przegląd Ulicy Czterdziestej Drugiej może uznać za ostatecznie zakończony. Pozostawała ponowna lustracja Czterdziestej Siódmej. Minęła wkrótce jej narożnik i zaczęła schodzić ku rzece. Jej oczy były teraz czujniejsze niż przy pierwszym przemarszu, i to przyniosło jej sukces. Spostrzegła skromną, krzywo — bo tylko na jednym gwoździu — wiszącą tablicę; „Vanderbilt YMCA” — głosiły białe litery. Pchnęła skrzypiące drzwi i ostrożnie odmierzając kroki, niemalże się skradając, ruszyła w labirynt korytarzy i niezliczonych pokoi starego schroniska. Według Wintera właśnie tutaj miał swoją rezydencję Michael Plant.

Z początku nie natrafiła na żadne szczególne ślady; zewsząd wiało pustką i stęchlizną. Ale po pewnym czasie jej uwagę zwróciła porzucona na samym środku korytarza książka. Podniosła ją. „*The Sexual Life of Savages*. B. Malinowski” — informowała okładka. Odłożyła książkę i poszła dalej. Już po paru metrach potknęła się na następnej: „*Tristesse des tropiques*. C. Levi-Strauss”. A potem książek było więcej i więcej: zwalonych na nieforemne stosy, aż do sufitu usztaplowanych pod ścianami, poukładanych na podłodze niczym brukowe kostki. W końcu brodziła wśród tomów, przeciskała się między nimi, odgarniała je i przekładała. Nagle zrobiła nieostrożny ruch i sprawiła, że z potwornym hukiem runął słup zbudowany z dzieł zebranych jakiegoś klasyka.

— Kto się tam tłucze, do jasnej cholery?! — basowy ryk, który dobiegł spoza pobliskich drzwi, był równie jak poprzedzający go huk potworny. — Wejść i wytłumaczyć się.

Znalazła się w przestronnym pokoju zawalonym książkami podobnie jak korytarz, chociaż tutaj zdawał się panować pośród nich nieco większy porządek. Poza książkami pokój mieścił jeszcze ogromne, rozbebeszone legowisko, staroświecki wieszak pochylony pod ciężarem mnóstwa jakichś łachów i dwa bujane fotele. W jednym z nich siedział brodaty mężczyzna. Na jego kolanach spoczywał otwarty tom, a w zasięgu ręki stały skrzynka jabłek i butelka, co do zawartości której

trudno było powziąć jakiegokolwiek wątpliwości (widoczne produkty nie stanowiły przecież jego jedyne gożywienia, co bezwstydnie zdradzał potężny brzuch rozsadzający flanelową koszulę o poobrywanych guzikach). Oceniała jego wiek na czterdzieści parę lat i natychmiast, sama jeszcze nie bardzo wiedząc dlaczego, poczuła do niego czystą, bezwarunkową sympatię.

— Córúś! — zahuczał. — Skąd się tutaj wzięłaś? Prędzej spodziewałbym się białej myszki!

Zapewniła go, że jeśli jest o czymkolwiek naprawdę przekonana, to o tym, iż nie ma nic wspólnego z myszkami; przedstawiła się i powiedziała, że adres otrzymała od Wintera.

— Winter! — wrzasnął. — Wciąż wszystko mu się trzęsie?!

Potwierdziła przypuszczenie o niezmienności poglądów Wintera na stan skorupy ziemskiej i ujawniła z kolei, że istotnym powodem jej wizyty jest pragnienie dowiedzenia się czegoś o twórczości Pawia Bossyna. I o samym Pawle Bossynie.

— Też sobie znalazłaś zainteresowania! — parsknął jak wyjątkowo zde gustowany mors. — Naprawdę nie potrafiłaś poszukać czegoś ciekawszego? Chciał chyba dodać coś jeszcze, ale nie dopuściła go do głosu, spiesząc z informacją, że jest już trzecią — po samym Bossynie i Winterze — osobą, która usiłuje przekonać ją o kiepskim wyborze zainteresowań i zawrócić z obranej drogi.

— Znam jeszcze co najmniej jedną, która byłaby identycznego zdania — mruknął. — A jest najbardziej kompetentna.

Gestem i spojrzeniem dała mu do zrozumienia, że nie stać jej na najśłabszy domysł co do tożsamości tego, kogo miał na myśli.

— Eleonora Nardi — wyjaśnił. — Była z tym maniakiem i oszustem przez cały okres paryski. Nim się ostatecznie rozstali, minęło ładnych kilka lat. Powiedziała sobie w duchu, że musi zapamiętać to nazwisko. A głośno zapytała, dlaczego określił Bossyna — najwybitniejszego tuszera epoki, artystę, w którym wielu dostrzega geniusza — jako maniaka i oszusta? Aż do tej chwili rozmowa toczyła się przy zachowaniu pierwotnej konfiguracji ich postaci: Plant bujał się na fotelu, a ona stała krok albo dwa przed progiem pokoju, niemalże w drzwiach. Teraz najwyraźniej poczuł wreszcie niezręczność sytuacji.

— Wiesz co? — sapnął nie odpowiadając na pytanie. — Weź sobie szklanę, nalej whisky... albo nie! Lepiej sam ci naleję, skąd mam wiedzieć, czy potrafisz zachować umiar?, usiądź wygodnie: może usłyszysz ode mnie jakieś rewelacje? Może takie, co mogłyby zbić cię z nóg?

Spełniła wszystkie jego polecenia. Dopiero w tym momencie objawił chęć powrotu do przerwanej wątku.

— Powiedz mi, córúś... — zaczął i zaraz urwał, by przez mgnienie nad czymś się zastanowić. — Powiedz mi — ciągnął — czemuś ty się właściwie ucze piła Bossyna? Czego ty od niego chcesz?

Pośpiesznie streściła swoją historię. Opowiedziała mu o paryskich studiach, o wykładach Laurana, o tym, jak zaraziła się od niego fascynacją tuszyzmem, o dotykowcach, jakie miała okazję poznać, i wreszcie o planowanej książce. Wspomniała nawet o motcie, które zamierzała zaczerpnąć z manifestu Bossyna — z „*Les phenomenes du touchisme*”...

— Świetny tekst, co?! — ucieszył się i zaraz przystąpił do świadomie przerysowanej, o groteskę ocierającej się recytacji. — „Dotyk! Bronić będę dotyku! Bo jakże niesprawiedliwie obdarza nasze zmysły sztuka! Od niepamiętnych czasów faworyzuje wzrok i słuch; dla oka, dla ucha lub dla obu razem przeznacza i taniec, i teatr, i muzykę, i rzeźbę, i malarstwo... Smakowi i węchowi służą już tylko ubogie krewne muz; wystarczyć im musi gastronomia i umiejętność przyrządzania wonności... Ale dotyk?!”

Ostatni wykrzyknik podkreślił dramatycznym wyrzutem ramion w górę. Odczekała chwilę, a przekonawszy się, że nie zamierza ciągnąć recytacji dalej, wyraziła podziw dla jego pamięci, która pozwala mu tak biegle odtwarzać tekst sprzed, bądź co bądź, ćwierćwiecza.

— Laluś! — zadudnił. — Jakże mógłbym tego nie pamiętać?! Przecież sam to napisałem. Pomyślała, że proponując, by wysłuchała jego rewelacji na siedząco, miał najzupełniejszą słusność. Zaraz też zapytała go, czy to dlatego nazywa Bossyna oszustem; czy dlatego, że położył swoje inicjały pod tekstem, którego nie napisał?

— Czy wyglądam na tak małostkowego, żeby się bzdyczyć z powodu naruszenia praw autorskich?! — zdawał się naprawdę dotknięty podejrzeniem. — Zresztą akurat w tym wypadku żadnego oszustwa nie było. Bossyn miał pełne podstawy, żeby podpisać tekst; pomysł był jego, a mnie przypadło jedynie ubranie całej rzeczy w słowa... on nie miał ręki do pióra... Nie... I mania, i oszustwo Bossyna polegały na czymś zupełnie innym... Właśnie mania była praprzyczyną wszystkiego, a oszukiwał, by ją ukryć. Kazał mi pisać o niedocenianiu zmysłu dotyku w roli receptora sztuki. I o swoim pragnieniu poszerzenia obszaru doznań estetycznych. Czysty kamuflaż! W gruncie rzeczy miał w nosie wszystkie problemy estetyczne. Wiesz, skąd się naprawdę wzięły dotykowce i ten cały jego tuszym? Pokręciła głową, by okazać, że nie wie.

— W dzieciństwie miał dziwną przygodę. Albo może raczej zdawało mu się, że ją miał. Dotknął jakiejś starej poręczy i ukazali mu się czy też wstąpili w niego wszyscy, których ręce spoczywały w tym miejscu wcześniej. Dobrze, co? — wzruszył ramionami. — A jeszcze lepsze to, że od tamtego dnia uważał się za istotę wybraną. Robił wszystko, żeby się z tym nie zdradzić, ale ja go przejrzałem. Wierzył, że jego skóra może odebrać jakiś sygnał, który wcześniej czy później na pewno będzie nadany i który wszyscy inni przegapią. Odbiorcy jego dzieł nic a nic go nie obchodzili! Tworzył wyłącznie po to, by wyostrzyć własne zmysły, by lepiej się przygotować do tego jedyne naprawdę ważnego zadania. W pewnym okresie całkiem serio rozważał możliwość wyłupienia sobie oczu, by zmusić dotyk do jeszcze wyższej koncentracji. Wcale nie zmyślam! To chory człowiek! Cały czas czekał na ten swój sygnał. I nie doczekał się. Jest w tym coś interesującego? Musiała przyznać, że w jego ujęciu losy i twórcze poczynania Bossyna rzeczywiście nie wydają się szczególnie atrakcyjne.

— Żabuś! Coś szczególnie atrakcyjnego to ja mam tutaj! — wskazał tom wciąż leżący na jego kolanach. — Bardzo uczony pan profesor opisuje, jak robili to Eskimosi. Przed trzystu laty. To naprawdę niezłe! Tylko tak straszliwie skomplikowane, że bez praktycznego przeciwiczenia nie sposób wyrobić sobie pełnego poglądu... Żeby zyskać na czasie, podniosła szklankę i pociągnęła spory łyk. Wyraźnie prowokował ją, by zapytała, jakąż to właściwie sferę aktywności Eskimosów miał na myśli. Ale chociaż kusilo ją, by tej prowokacji ulec, ostatecznie wywinęła się zagadując go o przyczynę, dla której czyta naukowe dzieła, zamiast po prostu udać się do stosownej enklawy.

— Ech, Dziubuś! — westchnął ciężko. — Ja nie mam szczęścia do enklaw. Próbowalem się zaczepić przynajmniej w kilku i za każdym razem próba kończyła się tak samo: w bardziej czy mniej wyszukany sposób chciano pozbawić mnie życia. Na Krecie — zaczął odliczać na palcach — miał mnie pożreć Minotaur. No, to było dość dawno; mogłem jeszcze wówczas uchodzić za młodzieńca... — opuścił krytyczne spojrzenie na swój brzuch — ...i to za pięknego młodzieńca, za efeba... W Wurzhemie — zagiął następny palec — wzniesiono dla mnie stos; to taka mała enklawa wewnątrz Pogranicza — zupełne Średniowiecze... W Andach Inkowie umyślili sobie powiesić mnie za włosy nad przepaścią. W pobliżu Yerushalayim, tam gdzie odtworzono początki dynastii Hasmonejskiej, chcieli mnie ukamienować. A co mi chcieli zrobić w Astrachaniu — wszystkie palce jego dłoni,

łącznie z kciukiem, były już podkurczone — wolę nawet nie mówić, bo jeszcze dzisiaj na samą myśl o tym robi mi się zimno. Tam jest enklawa z czasów Iwana Groźnego i jej mieszkańcy mają dość szczególne poczucie humoru... W Kantonie — wyciągnął ku niej drugą dłoń i zagiął mały palec — oczywiście w Kantonie z czasów dynastii Ming...

Przerwała mu ponurą wyliczankę wyrażając wątpliwość co do prawdziwości zagrożeń, w obliczu których miał się rzekomo znaleźć (whisky zaczynała działać i to dodawało jej słowom śmiałości i zaczepności). Przypomniała mu, że zgodnie z postanowieniami konferencji w Palermo, w enklawach nie wolno kultywować tych tradycji, których cechą jest okrucieństwo. I że od dawna na całym świecie zniesiono karę śmierci. We wszystkich postaciach.

— Ha! ha! ha! Córui! Ha! ha! ha! Aleś mnie ubawiła! Ha! ha! ha! — jego śmiech był zaiste homeryczny. — Konferencja w Palermo! Historyczne Spotkanie Trzech Światów! — od tego momentu znowu, podobnie jak przy cytowaniu manifestu Bossyna, nastroił głos na ton przerysowanej, groteskowej recytacji:

— „Przedstawiciele całej ludzkości ogłaszają uroczyście wyodrębnienie trzech stref bytowania człowieka, które nosić będą nazwy Głównego Nurtu, Pogranicza i Enklaw. Przedstawiciele całej ludzkości deklarują jednocześnie pragnienie nienaruszalnego zachowania tych stref po wsze czasy i zobowiązują się do zagwarantowania każdemu człowiekowi prawa...” Nieco dotknięta jego wybuchem wesołości i najwyraźniej wymierzoną w jej osobę kpina zawartą w sposobie mówienia, przerwała mu raz jeszcze. Zapytała, jak to się dzieje, że i Deklarację Trzech Światów zapamiętał z tak niebywałą dokładnością. Czyżby i ona wyszła spod jego pióra?

— No, nie... skądże... — po raz pierwszy odrobinę się stropił. — Sam nie wiem, czemu takie rzeczy zostają mi w głowie. Chyba dotyczy to wszystkich tekstów, którymi w jakiś sposób się przejmę...

Zażądała, by wyjaśnił, na czym polegało jego przejęcie się Deklaracją: wydawało się jej, że zdobyła inicjatywę, że idzie za ciosem.

— A co ty, Kiciuś, właściwie wiesz o konferencji w Palermo? — ignorując żądanie przeszedł nagle do ofensywy. — I o enklawach?

Nadaśanym tonem (znowu czuła się dotknięta) odparta, że zawsze uważała konferencję za fundament takiego kształtu świata, w którym każdy człowiek może swobodnie szukać najbardziej odpowiadającego mu miejsca. I odnaleźć je... O enklawach powiedziała, że zna je tylko pobieżnie — z paru studenckich wycieczek i z przejazdów tranzytem...

— Tak... — pokiwał głową. — Znasz tylko ideę. To może zresztą nawet nie była zła idea; jeden świat podzielić na trzy i każdemu pozwolić na życie zgodne z upodobaniami, na komfort oglądania tylko takiej rzeczywistości, jaka odpowiada jego oczekiwaniom i przekonaniom. Ci, którzy lubią ruch i zmiany — jazda do Głównego Nurtu! Ci, co najwyżej cenią martwy spokój — proszę na Pogranicze! A wszelcy przebierańcy — won do enklaw! Przynajmniej w założeniach tak to wyglądało. Ale potem wszystko wymknęło się spod kontroli...

Błysnęło jej, że zdaniem, które przed chwilą wypowiedział, sam pcha się na widelec i że dopiero teraz nadchodzi pora, by przyszpilić go tak, jak na to zasłużył (do dna wypila już swoją szklanekę i jej spojrzenie na całą rozmowę wyostrzało się z minuty na minutę; nie oznaczało to zresztą wcale zmniejszenia sympatii do rozmówcy — nabierała ona tylko coraz agresywniejszego zabarwienia). Starannie mieszając sarkazm z uroczystą powagą osoby wtajemniczanej powiedziała, że jego uwagi wcale nie wydają się jej odkrywcze. O tym, że liczba enklaw urosła ponad wszelkie

plany i prognozy, czy o tym, że niektórzy przebierańcy — jak ich nazwał — prowadzą swoje gry poza wyznaczonymi miejscami, wie prawie każdy. Ale grubą przesadą jest twierdzić, że — od tego miejsca poświęciła modulacji głosu zupełnie szczególną uwagę — „wszystko wymknęło się spod kontroli”...

Zamierzona kontra i tym razem poszła w próżnię; wysłuchawszy całej jej wypowiedzi, Plant machnął tylko ręką. Potem sięgnął po butelkę i uzupełnił ubytki w szklankach ich obojga (nie protestowała). Wreszcie mocniej rozkołysał swój fotel i odchyliwszy na oparcie głowę przez dłuższą chwilę nad czymś się zastanawiał.

— To, o czym mówiłaś, to tylko zewnętrzna powłoka zjawisk — wysunął konkluzję. — A spod kontroli wymknęło się to, co kryje się za nimi, pełna treści suma, na jaką się składają... Słuchaj, Dzidzius — w głosie wciąż miał kpinę, ale jego oczy spoważniały — chcę ci coś przekazać... To takie moje teorie... Może nawet nie teorie — to właściwie tylko uporządkowane informacje... To prawda, że enklaw jest mnóstwo: większych i mniejszych, zamkniętych i otwartych, na terenach Głównego Nurtu i na Pograniczu... Ale ważne jest to, że nie ma wśród nich dwóch identycznych. A jeszcze ważniejsze to, że ujęte łącznie, zawierają w sobie całe dzieje człowieka. Rozumiesz mnie, Kotuś? W postaci choćby najmniejszej próbki obecna jest w tym czy w innym kącie globu każda z epok. Wszystkie epoki istnieją jednocześnie: gdzieś w Afryce skrawek czasu sprzed sześciu tysięcy lat, na Krecie — sprzed czterech tysięcy, jeszcze gdzie indziej — sprzed stulecia. Ale zlepiając je ze sobą — otrzymasz całość. Nikt tym nie sterował, a przecież na szachownicy niezmiennego przestrzeni wytworzyła się zdumiewająca ciągłość płynnego czasu; wędrując podług odpowiedniej marszruty można przejść przez całą historię... Urwał i pociągnął ze szklaneczki; bezwiednie go naśladując zrobiła to samo.

— To jeszcze nie wszystko — kontynuował po chwili. — W niektórych enklawach dzieją się bardzo dziwne rzeczy; przybywa takich, co nie proponują już tylko zabawy w życie sprzed wieków, lecz naprawdę bez reszty się w nim zanurzają. Wcale nie dlatego, że mieszkańcy stracili rozeznanie czasów i nie wiedzą sami, w jakim właściwie przebywają, że swoje historyczne role i kostiumy biorą za jedyną rzeczywistość. To oczywiście też się zdarza i też ma znaczenie, ale nie jest najważniejsze. Istota sprawy tkwi w tym, że w owych enklawach pojawili się autentyczni ludzie z przeszłości. Tak! Najzupełniej autentyczni! Nie rozumiem, jak do tego doszło i na czym to polega, ale wiem, że właśnie tak się dzieje! — im bardziej okrągłe robiły się jej oczy, z tym większym naciskiem wypowiadała słowa. — Czas i przestrzeń pozamieniały się tam miejscami, dokumentnie pomieszały — jak we wnętrzu czarnych dziur. I ci z przeszłości zaczynają odgrywać coraz większą rolę...

Jeszcze raz oboje unieśli szklanki.

— Nie musisz mi wierzyć — nie zabrzmiało to jak zwrot retoryczny; nagle naprawdę przestało mu zależeć na tym, by ją przekonać. — Enklawy i tak nie mają już większego znaczenia. Żaden z trzech światów nie ma znaczenia. Liczą się wyłącznie miejsca poza czasem. Tylko odruchowo powtórzyła jego ostatnie zdanie i tylko odruchowo nadała mu brzmienie pytające. W gruncie rzeczy nie oczekiwała dalszych wyjaśnień. Od paru chwil pogrążała się w miłe ciepło, w stan całkowitego uwolnienia od napięć i przyjaznej akceptacji zjawisk nawet najdziwniejszych — bez potrzeby ich rozumienia. Spostrzegł, co się z nią dzieje.

— Wybacz — powiedział. — Znużyłem cię tymi wywodami. Może lepiej wrócimy do sprawy Eskimosów? Zapytała, czy to koniecznie muszą być Eskimosi. Sama zawsze miała słabość do osiemnastowiecznych Francuzów.

— Nie mogłaś trafić lepiej! — zerwał się z fotela, a jego oczy zapłonęły radosnym blaskiem. — Prawie pół roku mieszkałem w słynnym pałacu La Coste. U samego pana markiza... W końcu musiałem stamtąd pryskać — jego entuzjazm przygasł. — Mówiłem ci, że nie mam szczęścia do enklaw; tam też znalazło się kilku ponuraków, którzy koniecznie chcieli mnie zapoznać z działaniem wynalazku doktora Guillotin... Ale nim prysnąłem — znowu się ożywił — niejedno zdążyłem sobie przyswoić...

10.

Zdołał ją u siebie zatrzymać tylko przez półtorej doby. A kiedy już odprowadził ją do smugowca ukrytego w pooenzetowskich gąszczach, kiedy poczuł na policzku jej wargi składające ostatni, roztargniony pocałunek i kiedy na nowo stał się jedynym mieszkańcem ogromnego miasta, opanowały go uczucia sprzeczne, zawile poplątane, dla niego samego nie do końca jasne.

Właściwie powinien być z siebie zadowolony: udało mu się zaliczyć jeszcze jedną grę. Został zaskoczony, musiał improwizować, a przecież nawet na moment nie wypadł z wymyślonej na poczekaniu roli. Nie pomylił się w wyborze maski — przyniosła wygraną... Ale dziwna czczość, niesmak do siebie, niepokój — sięgały głębiej.

Drugi raz w życiu nie dawał mu satysfakcji wynik gry, bo klęską okazywała się sama gra. I drugi raz tym, który ponosił winę za zapaść jego świata, za wywrócenie na nice jego reguł, był Paweł Bossyn.

Wracając wolno ku swojej borsuczej norze przeżuwał sens owych niespełna czterdziestu godzin. Spodobała ci się od pierwszego wejrzenia, myślał, od momentu, gdy stanęła w drzwiach. Dlatego tak bardzo dotknęło cię to; że nie dla twojej osoby przyszła... Nie dotknęło? Dotknęło! Bossyn! Zauważyłaś od razu, jak bardzo jest nim zafascynowana. I wcale nie potrzebowałaś pytać, by wiedzieć, skąd się u niej ta fascynacja wzięła (no, w końcu przecież trochę znasz kobiety...). Poczuleś w niej jedną z tych, co łakną wtajemniczenia. Chcą, żeby pod zewnętrzną powłoką kryły się niezbadane dziwy, nieprzeliczone, jedna na drugą ponakładane warstwy najgłębszych znaczeń, sekretne odpowiedzi na pytania, których nie sposób sformułować jasno, bo w samej swej istocie są zaledwie mrocznym przecuciem. Dla takich kobiet mężczyzna godny jest uwagi tylko wtedy, gdy posiada klucz do owych wewnętrznych kręgów. Albo potrafi sprawić wrażenie, że go posiada. Bossyn! Musiałaś przyznać, że trudno znaleźć kogoś, kto lepiej spełniałby warunki: sławny człowiek, wybitny artysta, odkrywca nowych dróg i zdobywca szczytów... Ale jednocześnie nie mogłaś tego przecież potraktować inaczej niż jako wyzwanie: pomniejszyć Bossyna, zdmuchnąć z niego zniewalający czar, wysunąć się przed niego — właśnie tak to sobie od pierwszej chwili wyobrażałaś.

Nastrój poprawił mu się nieco, gdy z rozbawieniem zaczął sobie przypominać szczegóły poprzedniego wieczoru. Wślizgiwałaś się we właściwe wcielenie z chytryością węża, myślał, bezbłędnie dobierałaś piórka do stroju, w którym chciałaś się jej pokazać (w którym ona mogła chcieć cię widzieć). Michael Plant — weteran enklaw, który w każdej z nich ryzykuje życiem! Michael Plant — odkrywca, który wydziera enklawom ich ukryty sens! Kotuś, szepnął chichocząc, Kotuś, łykałaś te brednie jak gęś kluski... Wciąż chichocząc zrobił jeszcze kilka kroków i nagle stanął jak wryty, bo myśli, które ostro przepływały przez jego mózg, były przykre niczym ukłucia igieł: z czego się, barani łbie, cieszysz? Od początku czułaś, że nie miałyby nic przeciwko temu, by silnie się z tobą zaprzyjaźnić, a później po prostu ją upiłeś! Ot, cała twoja wyrafinowana gra...

Dlaczego w ogóle zawsze musiał grać, udawać, knuć, cyganić, obelgiwać, blagować, pozorować, okpiwać i przechytrzać? Czemu powiedziawszy dziesięć przypadkowych słów (na przykład: „Córuś! Skąd się tutaj wzięłaś? Prędzej spodziewałbym się białej myszki!”) wpadał w narzuconą przez nie koleinę roli i już nie potrafił wyrwać się z niej ku niczemu autentycznemu? Czy taka była jego natura, istota? Czy było to tylko drugie ja nabyte w wędrówce przez zbyt liczne enklawy?

Ruszył dalej. Im krótszy stawał się dystans dzielący go od celu, tym głębszą przeszłość rozświetlały jego wspomnienia. Tyle już lat minęło od dnia, w którym pierwszy raz stawiał sobie pytania o cechy własnej natury, o przyczyny zachowań, nad którymi tracił kontrolę, o sens życia... Paryż... Bossyn... I Nora Nardi... Nadal mógł powtórzyć każde z jej słów: „Nie mogę być z nim dłużej; nie ma w nim już nic poza jego obsesjami, nie potrafi znaleźć żadnych przyjemności w realnym życiu. Ale przecież nie odejdę do ciebie, Miszka. Wybacz, że to mówię, ale w tobie w ogóle nic nie ma; ty w swojej pogoni za przyjemnością zamieniłeś się w pustą formę, którą wypełnić można wszystkim. To też niezbyt ciekawe...”

Minął bramę Vanderbilta. Ale nie poszedł do swego pokoju. Wiedziony wspomnieniami skierował kroki do niegdysiejszej świetlicy. Gdy przed laty urządzał swoją samotnię, wstawił tam jedyne dzieło Bossyna, jakie posiadał na własność: najwcześniejszy z dotykowców.

Pchnął wahadłowe drzwi. Przekraczając próg zarazem cofał się o ćwierćwiecze; oto znowu jest w paryskiej pracowni, na rozległym poddaszu mieszczańskiej kamienicy przy stromej uliczce Montmartre’u. W głębi pomieszczenia, na tle pustej ściany, ale nie przylegając do niej, w pewnej odległości, stoi sztorcem spory blaszany walec. Właściwie zwykła beczka. Otwór, w którym umieszcza się szpunt, zieje pustką. Wygląda to trochę jak pancerna budka dla monstrualnych ptaków, myśli. Bossyn opiera się o ścianę, połowę ciała chowa się za swoim dziełem. Chodź tutaj, mówi, włóż rękę w ten otwór. Z wyraźnym rozbawieniem obserwuje zaskoczenie na jego twarzy i wahanie odbite w niepewnym, wolniutkim ruchu dłoni, obawę — w podkurczeniu palców... W końcu jego dłoń znika w dziurze, zagłębia się w niej: jakie dziwne doznania!

Łaskocze ją coś puszystego, prześlizguje się po niej coś wilgotnego, coś sprężyście się od niej odbija. Bossyn nie spuszcza z niego oka, stara się nie przegapić żadnej z jego reakcji, a on zastanawia się, co tam jest: ptasie pióra?, skóra węża?, gumowe wahadło? Ośmiela się trochę, zaczyna swobodniej poruszać palcami. I nagle przez jego ciało, od głowy do stóp, przebiega dreszcz, a usta wydają mimowolny okrzyk: coś zniecka chwyciło go mocno! Chwyciło i nie puszcza! Całym sobą rzuca się wstecz, siłą wyrывa dłoń z pułapki...

A Bossyn wybucha śmiechem. Przejdź tutaj, mówi, na moją stronę. Zobaczysz coś ciekawego. W boku walca zwróconym ku Bossynowi i ścianie, przeciwległym do otworu przeznaczonego dla ciekawskich dłoni, wycięto sporych rozmiarów okienko. Można przez nie swobodnie zajrzeć do środka. Można oglądać zawieszona na sznurkach kawałki króliczej skórki, rurkę z miękkiego plastiku, piłkę na sprężynie... Można też dzięki okienku zrobić to, co przed chwilą zrobił sam Mistrz — do wnętrza walca wsunąć dłoń i pochwycić dłoń nieświadomego rzeczy gościa, dłoń, która dostała się tam przez otwór przeciwległy i błądzi po omacku. Wybacz mi, mówi Bossyn, to był strasznie głupi kawał, ale nie mogłem się od niego powstrzymać. A on, trochę zawstydzony swoim przerażeniem, okrzykiem i gwałtownością ruchów, szybko zapewnia, że kawał był całkiem dobry. Nie powinieneś myśleć, Bossyn na to, że to tutaj służyć ma wyłącznie żartom. Nazywam to dotykowcem; pracuję teraz nad rozwinięciem sztuki, której odbiór dokonywać się będzie właśnie przez dotyk. Robiono już próby w tym kierunku, ale nic naprawdę wybitnego nie zdążyło jeszcze

powstać. Więc jest pole do popisu! Z różnych rodzajów dotknięć komponować chcę utwory, rozumiesz? Na razie eksperymentuję z tematami na jedną dłoń, ale kiedyś chciałbym grać na całym ciele człowieka. To będą wielkie, kontrapunktowe struktury — rozciągnięte w przestrzeni i w czasie... No, przyszłość pokaże. Jeśli mi się powiedzie, dostaniesz ode mnie tę beczkę na pamiątkę!

No i powiodło mu się, pomyślał. A ty dostałeś swój prezent. Jeszcze przez chwilę stał przed walcem; jego lewa dłoń — niewidoczna, ukryta w ciemnym wnętrzu — poruszała się wolno, odnajdywała dobrze znane wrażenia. Pierwszy dotykowiec, mruknął do siebie, najwcześniejszy ze wszystkich... Jednak szkoda, że jej tego nie pokazałeś — przecież właśnie takich ciekawostek szuka. I szkoda, że nie umiałeś się zdobyć na powiedzenie jej tego, co naprawdę myślisz o Bossynie. I że rozpaczliwie siłłeś się na teorie dotyczące enklaw, a o miejscach poza czasem ledwie wspomniałeś. Miejsca poza czasem... Może nie zrobiłyby na niej wielkiego wrażenia, ale przynajmniej dałyby temat do normalnej rozmowy... No tak, do normalnej rozmowy... Czy ty jeszcze potrafisz normalnie rozmawiać?

Cofnął rękę, odwrócił się, znowu pchnął wahadłowe drzwi; teraz zmierzał już prosto do pokoju. Mijając w korytarzu wielką, lepsze czasy pamiętającą szafę chłodniczą, pomyślał, że dobrze byłoby sięgnąć po nową butelkę. Zrobił to, a kiedy już miał na powrót zamknąć swoją spiżarnię, jego uwagę zwróciła książka leżąca na półce pod zamrażalnikiem, między otwartą puszką sardynek i kartonowym pojemnikiem na mleko (w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć okoliczności, w jakich ją tam wpakował). Odruchowo przebiegł oczyma rzędki liter na okładce: „The Caribou Eskimos; by Birket Smith”. Uśmiechnął się. I odszedł pozostawiając uczone dzieło tam, gdzie je zastał.

11.

W czasie ich rozmowy (tej pierwszej, prawdziwej, nie w czasie późniejszych, imaginacyjnych dialogów) powiedział dziewczynie, że po prostu żyje. Bo też trudno byłoby znaleźć lepsze określenie na to, co stanowiło treść jego dni i nocy. Nie robił już żadnych planów, do niczego nie dążył... Uprawiał wciąż rysunek i rzeźbę — to działał wewnętrzny przymus tworzenia, nawyk, który przez lata wrósł w samo sedno jego istoty — ale bez myśli o wystawach i widzach. W wysiłki na rzecz stania się wyłącznie odbiorcą własnych dzieł wprzągnął nawet materiały, którymi się posługiwał — z samej ich natury nietrwałe, wręcz ulotne; latem rysował na piasku, zimą rzeźbił w śniegu. Poza tym trochę czytał oraz zajmował się niedużym ogrodem, który dostarczał mu warzyw i owoców, a jeśli dokuczyła mu czasem niezmiennosc miejsca pobytu — robił wypad do którejś z paru pobliskich enklaw (w szafie trzymał strój wędrownego żebraka; nadawał się do wykorzystania w każdej epoce, w najgorszym razie wymagało to korekty szczegółów).

Miał tylko jednego sąsiada: podobnie jak on sam mieszkał w domu na szczycie wzgórza — nieodległego, bliźniaczego w kształcie. Nazywał się Karl Hubsch. To znaczy: z dużym prawdopodobieństwem można było przypuszczać, że nim jest. Dla jakichś sobie tylko znanych powodów nigdy nie przedstawił się wprost. Tożsamość swoją utrzymywał w sferze niedopowiedzeń i dwuznaczności. Czasami o pracach i osiągnięciach Hubscha mówił jak o swoich własnych, a kiedy indziej ów sławny uczony stawał się w jego ustach kimś drugim i dalekim, osobą znaną jedynie ze zdjęć i ekranów. Jego fizyczne podobieństwo do tak często i szeroko prezentowanej niegdyś postaci było znaczne, chociaż jednocześnie pewne szczegóły wyglądu zdawały się służyć odwróceniu uwagi od tego faktu: Hubsch, tamten ekranowo — zdjęciowy Hubsch, nosił sięgające ramion, mocno skrzycone loki, miał bystre, przenikliwe spojrzenie i sływał z zamiłowania do ekstrawaganckich, papuzich strojów — sąsiad golił głowę do skóry, krył oczy za ciemnymi szklami i ubierał się w długą, szarą szatę przypominającą habit średniowiecznego mnicha. Hubsch? Nie Hubsch? Chyba jednak on; prowadził grę, bawił się w chowanego... Widocznie potrzebował tego i nie było żadnego powodu, by mu przeszkadzać.

Odwiedzali się stosunkowo często, dwa lub i trzy razy w tygodniu. Zdarzało się, że rozgrywali partię szachów (Hubsch zawsze z łatwością wygrywał), ale przeważnie prowadzili rozmowy. Może raczej — wygłaszali długie monologi. Przychodząc do Hubscha przedstawiał mu swoje wizje sztuki, opowiadał o drodze od dotykowców do penta-artu, objaśniał obecny stan swego ducha. Kiedy z kolei Hubsch zjawiał się u niego, to jemu przypadała rola mówcy; wśród tematów, które szczególnie lubił, były wydarzenia z dziejów nauki, ewolucja człowieka, porządek i chaos we Wszechświecie. W pewnym sensie zawsze mówił o tym samym — po wielekroć wracał do poruszonych już wątków, przedstawiał wciąż nowe i nowe ich ujęcia. A wraz ze zmianą ujęcia potrafił podawać inną — na przemian jedną lub drugą — wersję własnej osoby; albo utożsamiał się z Karlem Hubschem, albo się od niego odcinał.

— *Zawsze, immer, wissen sie*, pragnąłem wiedzieć, czy istnieje jakiś cel ludzkich dziejów, cel, ku któremu, pokolenie za pokoleniem, zmierzamy — mówił Hubsch. — Przyznam, że pociągała mnie koncepcja, na której ogólny zarys, może tylko przeczucie, natrafić można już u Platona, w „Fedonie”: owa idea nakreślająca nam horyzont, gdzie niepokalany rozum sam w sobie przenika wszystko, gdzie wyzwolimy się od oczu i uszu, od całego ciała. Jak on to wyraził? Chyba mniej więcej tak: „Ciało mąci widok i nie pozwala duszy osiąść prawdy i poznania, jak długo się duszy trzyma”.

Interesujące, *nicht wahr?* Nic przeto dziwnego, odpowiadały mi takie poglądy na ewolucję, wedle których u jej kresu miałyby nas czekać dwa jednoczesne akty — zerwanie z egzystencją biologiczną i rozpoczęcie życia duchowego, duchowego... *im wahrsten Sinn des Wortes*... Przez całe lata zaprzętały mój mózg problemy wynikające z przyjęcia takiej perspektywy: w jaki sposób dokona się przejście przez ową ostatnią bramę? Jak organiczne struktury, którymi dziś jesteśmy, przemienia się w struktury przynależne do owej wyższej sfery? Czas jakiś skłonny byłem sądzić, że konkretnym wyrazem przemiany będzie stworzenie przez nas struktur cybernetycznych tak złożonych, by mogły dalej rozwijać się samodzielnie, już bez pomocy homo sapiens. Ludzki „hardware” przestałby być wtedy potrzebny, „software” trwałby i rósł bez niego. Ale potem to, co wydawało się niewyobrażalnie odległe, wtargnęło w terażniejszość: zbudowaliśmy takie cybernetyczne struktury i jakoś nie zniknęliśmy z powierzchni planety... *zu meiner echten Überraschung*... Zacząłem w końcu uważać, że ku ostatecznym rozwiązaniom przybliża nas każda ludzka śmierć. Poszedłem tropem wynikającym z tezy, iż nośnikiem świadomości nie jest całe nasze ciało, lecz poszczególne elektrony. Elektrony, które po biologicznym rozkładzie istnieją nadal i podtrzymują naszą świadomość w formach i układach nowych. A gdy kiedyś skona ostatni człowiek, wszystkie elektrony, wszystkie nośniki naszego psychizmu, złączą się w pankosmicznej unii; przekraczając wszelkie różnice kultur i czasów stworzą całość nad całościami, *kosmische Einigkeit*... Teraz do rozstrzygnięcia pozostaje mi już jedynie to, czy zbliżanie się do owego progu, do granicy biologicznego zmierzchu i duchowego świtu, do owego zmierzchoświtu, jeśli tak można powiedzieć, będzie dla nas zauważalne. Czy w dniu — nie, nie ostatnim, wystarczy, że przedostatnim lub nawet trzecim czy trzechsetnym od końca — czy w tym dniu będziemy wiedzieli, że nim jest? Liczba ludności Ziemi kurczy się od dobrego półwiecza: czy to już to? Nikt nie zaprzęta sobie głowy myślą o zmienianiu świata, wszyscy szukają sobie miejsc w jego okrzepłych — także bardzo starych, enklawowych formach: czy to już to? Nauka powiedziała, co miała do powiedzenia: czy to już to? *Ist's schon das?*

— Przypadek Hubscha należy do tych zjawisk, które, przemawiają na rzecz tezy o bliskości ostatecznego przesilenia — mówił Hubsch innego dnia, jednego z tych, w które dawał do zrozumienia, że Hubschem wcale nie jest. — Przypadek ten odsłania brutalniej niż inne dzisiejszy stan nauki... wygasanie jej funkcji... *die Grenzen der Erkenntnis*... Rozwój nauki — wbrew twierdzeniom jej kapłanów — nigdy nie był równomiernym, zdrowym wzrostem. W rzeczywistości nauka zawsze cierpiała na ostrą cyklotymię. To przeżywała okresy euforii, przekonana o znalezieniu drogi, która pozwoli jej sunąć naprzód jak smugowiec, rozgryzać i przeżuwać tajemnicę za tajemnicą. To znów popadała w przygnębienie, traciła wiarę w siebie, wszem wobec ogłaszała swoją klęskę. Górka i dołek, *wissen sie, von oben bis unten und von unten hinauf*, tak to szło. Kiedy Kartezjusz i Newton zbudowali swoją maszynę świata, wszystko wydawało się jasne. Wszystko chodziło w niej jak w zegarku — cóż za prostota! Cóż za szczęście! Ale potem — bach na pysk! To, co wyrosło z myśli Newtona, w próbach opisu Wszechświata prowadziło do niespójności i paradoksów. I od razu nosy na kwintę! I już ogłaszanie, że Wszechświat jest niebadalny. Einsteińskie wybawienie!

Kosmologia relatywistyczna i znowu wszystko w porządku! No, prawie w porządku — fizycy potykają się na nowych zagadkach. Więc zmodyfikowana kwantowa teoria grawitacji Middella — i pięknie! Wunderschön! ale Hubsch poszedł o wiele dalej; jego problemem nie była desperacja z powodu urwania się jakiejś wygodnej drogi ani też przesadny szal radości z odkrycia drogi nowej. *Nein! Nein!* Hubsch nie musiał zaprzętać sobie głowy drogami, bo nie miał już pytań, by zmierzać po odpowiedzi. On odpowiedział sobie na wszystkie możliwe pytania, wszystko zrozumiał. Siedem lat temu, na sympozjum w Liano Bajo, miał wygłosić referat: *On the Answer to the Last Question of Physics* — taki tytuł zgłosił organizatorom. W jakimż napięciu czekano na jego wystąpienie! Ktoś taki jak Karl Hubsch! I taki temat! A on przyjechał, pokręcił się wśród delegatów, w milczeniu wysłuchał jednej czy drugiej dyskusji i... zniknął! Spurlos! Nie udało się go od tamtego czasu odnaleźć. Myślę, że go rozumiem: nie chciał być tym, który powie innym, że nie mają nic więcej do roboty, nie chciał być grabarzem ich nadziei, marzeń, planów... Wolał zachować swoje rewelacje dla siebie. Er war ein echter Kerl. Chociaż... Laboratoria i tak pustoszeją, starzy uczeni wymierają, a młodzi naukowcy uciekają do enklaw i bawią się tam w magów albo w alchemików... Na ja... to wisiało w powietrzu...

Lubił słuchać Hubscha. Lubię go słuchać, mówił do dziewczyny, gdy przed zaśnięciem znowu wyobrażał sobie jej twarz. Chociaż zdążył powtórzyć te swoje opowieści tyle razy, że nauczyłem się ich na pamięć. I chociaż czasami wygłaszając je stwarza taki nastrój, że w najbardziej upalny dzień czuje się ciarki przechodzące po skórze. Jest między nami więź. Istnieje podobieństwo losów tak oczywiste, że nigdy nie odczuwaliśmy nawet potrzeby, by o nim rozmawiać. On dotarł do ostatecznego szczytu nauk — i cofnął się, nie zatrzymał na nim stopy. A ja dotarłem na szczyty sztuki — i postąpiłem tak samo. Czy może być wynikiem przypadku to, że później, nic o sobie nawzajem nie wiedząc, prawie jednocześnie obaj przybyliśmy tutaj? Że na dwóch bliźniaczych wzgórzach szukaliśmy miejsc na azyl? Czyżby z naszego przebywania obok siebie miało jeszcze coś wyniknąć?

12.

Willowa dzielnica, w której od dziesięcioleci mieszkali jej rodzice, objęta była zakazem ruchu smugowców. Nie pozostawało nic innego, jak zostawić pojazd na publicznym parkingu i pójść dalej piechotą. Szybko podążała uliczkami, których układ tkwił w jej pamięci od dzieciństwa. Gdy od celu dzieliło ją nie więcej niż kilkaset jardów, dobiegła jej uszu monotonna, przez wiele głosów ciągniona pieśń. Czy pieśń? Równie dobrze mógł to być zbiorowy krzyk tłumionej skargi, bolesny jęk, zawodzenie. Po chwili zza węgła wyłoniło się czoło tłumu: kilku zakapturzonych mnichów i chłopcy z płonącymi pochodniami w dłoniach. Po nich zaczęły wlewać się w uliczkę szeregi biczowników; ich nogi plątały się w długich, szarych workach, ich nagie torsy lśniły od potu różowo zabarwionego krwią. To, co wydobywało się z ich gardeł, najwyraźniej miało im ułatwić utrzymanie rytmu; po każdym paru frazach ramiona unosiły się w górę i wiązki rzemieni z charakterystycznym plaśnięciem opadały na zmaltretowane ciała. Momentami wydawało się jej, że wyłapuje z mieszaniny dźwięków pojedyncze słowa, ale całości pieśni pojąć nie mogła. Musiała odsunąć się pod kamienny mur okalający najbliższą posesję, bo pokutny pochód wypełnił całą szerokość jezdni i chodników.

Ocierając się o sunących przed nią posepnych pasjonatów, trochę głupio poczuła się w swoim blichtreksowym, przejrzystym kombinezonie. Na szczęście zdawali się w ogóle jej nie dostrzegać. Było ich wielu; próbowała ustalić, jak wielu, ale doszedłszy do trzystu zrezygnowała z dalszego liczenia. Wreszcie ostatni biczownik, słaniając się i ciężko dysząc, minął miejsce, w którym stała. Odetchnęła. I w tej samej chwili spostrzegła, że w pewnym oddaleniu podąża za pochodem wysoki, szczupły chłopak. Ubrany był w strój, który mieścił się w odzieżowych kanonach Głównego Nurtu, lecz nie raziłby również na Pograniczu i w niejednej enklawie: džinsy, flanelową koszulę i podniszczoną skórzaną kurtkę na baranku. Przez ramię, na pasku z indiańskiej krajki, przewieszoną miał gitarę. Nosił bardzo długie włosy i ich kosmyki, opadając na czoło i policzki, czyniły jego twarz prawie niewidzialną.

— Hej! — zawołała ku niemu. — Skąd oni się tutaj wzięli?! Przecież nigdy nie było tutaj żadnej enklawy!

Zatrzymał się i odwrócił w jej stronę głowę, ale nic nie powiedział.

— Może chociaż wiesz, co oni śpiewają? — podeszła bliżej. — Nie mogłam nic zrozumieć.

Bez słowa zdjął gitarę z ramienia i zawiesił sobie na szyi. Uderzył w struny.

— *This is the way the world ends* — zaśpiewał pieśń biczowników. — *This is the way the world ends. This is the way the world ends. Not with a bang but a whimper* — urwał. — To z Eliota — wyjaśnił. — A kto skomponował melodię — nie wiem. Zresztą nie jest zbyt wyszukana.

— Ale numer! — nie mogła powstrzymać okrzyku. — Biczować się pod Eliota!

— Numer jak numer — mruknął. Wyminął ją i ruszył za pochodem.

Poszła dalej i ona. Kilka minut później miała za sobą ostatnie skrzyżowanie i szybko mijała domy

sąsiadów:

Brennanowie... Falkensternowie... Tinyavscy... McElroyowie... Zaraz powinna zobaczyć znajomy fronton. Już Coltonowie... Dugganowie?! Zatrzymała się gwałtownie. Nie rozumiała, jak to się stało, ale przecież przegapiła miejsce, w którym przeżyła tyle lat. Nie była tutaj od dawna, ale pamięć jej nie zawodziła: posiadłość Coltonów graniczyła z ich ogrodem z jednej, a Dugganów z drugiej strony, zawsze tkwili między nimi. Cofnęła się. Coltonowie?! Więc jednak?! Gdzie się podziało jej rodzinne gniazdo?

— Szukasz czegoś? — głos rozlegający się za plecami brzmiał znajomo. Odwróciła się na pięcie. Przed nią stał Bill, jedyny syn Coltonów, rówieśnik i pierwszy przyjaciel dzieciństwa,

— Och! Billy! — wykrzyknęła. — Jak to dobrze, że jesteś! Wydaje mi się, że zaczynam bzikować. Powiedz: nie wiesz, co się stało z naszym domem?

— Jak to co się stało? — naprawdę wydawał się zaskoczony jej pytaniem. — Co się miało stać? Jego spojrzenie pobiegło ku czemuś poza nią, więc znowu musiała się odwrócić. W głębi ogrodu, na starym miejscu, stał dom. Ale to nie był ten dom, który pamiętała. Wyrosły mu potężne, narożne wieże, dach wypiętrzył się i nakrył miedzianymi, ośniedziałymi blachami, gładkie szyby panoramicznych okien wyparte zostały przez oprawne w ołów soczewki z barwionego na zielono szkła.

— Co oni zrobili?! — wykrzyknęła; taka przebudowa domu zadziwiała ją nie mniej niż całkowite jego zniknięcie. — Kiedy?!

— Kto co zrobił? — spokojnie zapytał Bill; jego oczy wciąż były skierowane w tę samą stronę. Spojrzała raz jeszcze i ona. I znowu okrzyk wyrwał się z jej ust; dom stał na swoim miejscu i wyglądał dokładnie tak samo jak przed laty. Ale właśnie w tym momencie przemknęło jej przez głowę, że wszystko, co dzieje się przed jej oczyma, to ani halucynacje, ani tym bardziej zjawiska nadprzyrodzone. Powstało w niej niejasne i słabe, ale szybko krzepnące podejrzenie, że ma to związek z Billem, że to jego sprawka.

— *You are kidding me!* — złożyła dłoń w kształt pistoletu i wymierzyła w jego pierś, a jednocześnie zaglądała mu w twarz próbując go zmusić, by patrzył jej prosto w oczy. — Stroisz sobie ze mnie żarty, stary gangsterze! Nie wiem, na czym to wszystko polega, ale ty wiesz na pewno!

— Nareszcie! — wybuchnął śmiechem. — Ciekaw byłem, kiedy na to wpadniesz! Jasne, że to moja sprawka! Tak działa mój nowy wynalazek — ciągnął w poważniejszym już nieco tonie — *face-lifting projector*. W skrócie: flip — schylił się i z gęstej trawy obok furtki wydobyl czarną skrzyneczkę o rozmiarach puszki herbaty. — Wiedziałem, że tutaj idziesz; na obu końcach ulicy mam zainstalowane kamery. No i zdążyłem przygotować dla ciebie niespodziankę...

— Zwariowane niespodzianki — musiała się uśmiechnąć. — Twoja specjalność.

— To zupełnie proste w obsłudze — zaczął objaśniać wyciągając ku niej rękę ze skrzyneczką. — Wybierasz sobie któryś z kilkuset widoków utrwalonych na taśmie projekcyjnej, nastawiasz programator, tutaj regulujesz kąt i odległość... Właściwie wszystko. Przestrzenny obraz nakłada się na to, co chcesz zasłonić albo podretuszować. I jest tam tak długo, póki programator nie wyłączy zasilania. No, co na to powiesz?

— Zabawne...

— Zabawne?! — wyraźnie dotknął go brak należnego podziwu i dostatecznego entuzjazmu w jej głosie. — To jest rewelacja! To będzie szlagier! Twój Stary załatwia mi już wszystkie sprawy patentowe. Aaaa! Ty pewnie nawet nie wiesz, że działam teraz na własną rękę, co? Zerwałem ze

wspólnikami, czas był na to najwyższy... Colton's Amusement Instruments — tak się nazywa moja firma. W skrócie: CAI. O, widzisz — te stylizowane literki na obudowie flipa to mój znak handlowy. Słuchaj — nie wyobrażasz sobie, jaki głośny się teraz stanę! Jeszcze parę miesięcy i nie będzie takiego, co nie znałby mojego nazwiska!

Przyglądała mu się z uwagą, może nawet ulegając fascynacji. Myślała o tym, że gdy tak mówi, zapala się, odsłania swój entuzjazm dla wszystkiego, co nowe, i swoje płomienne pragnienie sukcesu, może występować w roli wzorca pozytywnych cech obywatela Głównego Nurtu. Zaczęła się zastanawiać, ile z tych cech posiada sama i dlaczego w niej nigdy nie rozwinęły się w pełni; na pewno nie była tak apatyczna, niechętna wszelkim zmianom i wyprana z żądz przygody jak typowy człowiek Pogranicza, ale wycynowy stosunek do życia, jaki prezentował Bill, także rozmiął się z nastrojem jej ducha — raził powierzchownością, swoistą naiwnością, może nawet dziecinnością. Nie pierwszy raz uświadamiała sobie, że los wyznaczył jej miejsce gdzieś pomiędzy trzema światami, a nie wewnątrz któregoś z nich. Bo przecież enklaw też nie potrafiła potraktować serio, nie wyobrażała sobie, by mogła włożyć jakiś historyczny kostium i w pełni się z nim zrosnąć. Była ni to, ni owo. I czasami trochę zazdrościła takim ludziom jak Bill, takim, którzy wobec swojej rzeczywistości nie czuli żadnego dystansu i przyjmowali ją bez żadnych zastrzeżeń.

— Nie wierzysz, że mi się uda? — Bill po swojemu interpretował jej zadumę. — Pomyśl, dziewczyno, ilu ludziom może się przydać flip! Masz za oknami widok, który ci nie odpowiada? — pstryk! Wydajesz przyjęcie w ogrodzie i chcesz, żeby roślinność wyglądała nieco wspanialej? — pstryk! Trzeba przystroić dom z okazji jakiegoś święta? — pstryk! Albo trzeba...

— Pstryk! Pstryk! Pstryk! — przerwała mu naśladując strzelanie z palców, którym podkreślał swoje słowa. — Billy! Ty nigdy nie będziesz inny niż wtedy, gdy się poznaliśmy. Na pewno wszystko ci się uda!

Popatrzył na nią nieufnie, sprawdzając, jak daleko sięgała jej kpina, czy nie kryła się także w ostatnim zdaniu. Test musiał wypaść pomyślnie, bo jego twarz wypogodziła się.

— Jeszcze zobaczysz! — podsumował sprawę.

— Billy, nie wiesz, czy moi rodzice są w domu? — wykorzystwała okazję, by zmienić temat.

— Myślę, że tak — odparł. — Nie zauważyłem, żeby wychodzili...

Zrobiła mały krok w stronę furtki, wyciągnęła rękę ku daktyloskopowi (przez moment miała wątpliwości, czy jej linie papilarne są jeszcze w pamięci rodzicielskiego komputera, ale doszła do wniosku, że nie było powodu, by je stamtąd usuwać).

— Długo tutaj zostaniesz? — szybko zapytał Bill.

— Raczej nie, Billy — odparła. — Wpadłam właściwie tylko na chwilę. Wyjeżdżam na Pogranicze.

— Na Pogranicze? Czego ty tam wciąż szukasz? Rozłożyła ręce w nieokreślonym geście, takim, który mógł znaczyć wszystko i nic. Delikatnie się uśmiechnęła.

— Tylko raz w życiu opuściłem Główny Nurt... — powiedział. — Pamiętasz? Żeby zobaczyć się z tobą... Przyjęła jego słowa potwierdzającym skinieniem głowy.

I jeszcze jednym uśmiechem. A on przez chwilę zastanawiał się nad czymś. Później wyciągnął ku niej rękę, w której trzymał flipa.

— Chciałbym, żebyś to zatrzymała. Na pamiątkę. To jeden z paru prototypów...

— Dziękuję, Billy — wrzuciła aparacik do torebki. — Cieszę się, że mi to dajesz... To zupełnie jak kiedyś... Idąc alejką w stronę domu wiedziała, że nie odszedł z miejsca, w którym go zostawiła;

czuła na plecach jego wzrok.

13.

Niewiele znał kobiet, które mu się podobały. A ona należała do nich. Może nawet była jedyną, która podobała mu się naprawdę. Szkoda, że nigdy nie potrafił się z nią dogadać. Nie udawało mu się to nawet wtedy, gdy bawili się razem w jednym z dwu graniczących ze sobą ogrodów. W zewnętrznym świecie popychało ich ku sobie wszystko — sąsiedztwo, ten sam wiek i to, że poza nimi nie było w całej dzielnicy innych dzieci. A przecież duchy ich zawsze pozostawały dalekie. Bliskość nigdy nie przekształciła się w radosne przyciąganie, codzienną zażyłość przenikał przymus, który tak dobrze znają skazańcy zamknięci w jednej celi, rozbitkowie na bezludnej wyspie i większość małżeństw. Gdyby w pobliżu pojawiło się trzecie dziecko — tylko przypadek sprawił, że tak się nie stało — łącząca ich więź zaraz by prysła (w piątym i szóstym roku życia nie cenił jeszcze jej urody, więc nie istniało nic, co mogłoby go przy niej zatrzymać; coś, co mogłoby zatrzymać ją przy nim, nie znalazło się po dzień dzisiejszy). Nieustannie spierali się o to, w co i jak będą się bawić.

Rzadko dochodzili do porozumienia i w rezultacie nie tyle bawili się ze sobą, co obok siebie. A nawet przeciwko sobie. Zmuszał ją, by uczestniczyła w sekcjach lalek i misiów, nie zważając na jej znudzoną minę; dobitnym tonem tłumaczył, dlaczego kręcą się kółka plastikowych pojazdów i skąd bierze się dźwięk w pozytywkach. Ona kazała mu wysłuchiwać opowieści o duchach, siedzących w pniach drzew, czatować godzinami na krasnoludka, który miał wyjść z kretowiska, i wierzyć, że ich domy to zamczyska o potężnych wieżach, stromych, pokrytych ośniedziałą miedzią dachach i wąskich okienkach wypełnionych oprawnym w ołów, kolorowym szkłem. Gdy jedno z nich było w swoim żywiole, drugie pękało z niecierpliwości oczekując chwili, w której jemu dane będzie odgrywać główną rolę. Pękało z niecierpliwości, ale nie odchodziło. Bo nawet bierny i niechętny towarzysz, nawet sceptyczny i roztargniony widz — lepszy był niż nikt. W dziesięć lat później wyglądało to tylko odrobinę inaczej: nastolatek wiedział już, co pociąga go w pięknej dziewczynie, i próbował zjednać sobie jej przychylną niezliczonymi prezentami. Zbudował dla niej wrotki napędzane miniaturowymi silniczkami, przystosował jej czytnik do odtwarzania starych, nietypowych mikroksiążek, zainstalował antenę umożliwiającą odbiór programów telewizyjnych nadawanych nawet przez najbardziej prowincjonalne stacje Pogranicza...

Przyjmowała to wszystko niczym daninę, należną jej w sposób oczywisty i w każdych ilościach, a w zamian pozwalała zabierać się na długie spacery, podczas których mógł poznawać jej koślawe jeszcze, kształtujące się dopiero poglądy na sztukę, najwcześniejsze próby samodzielnych krytyk, mgliste plany przyszłych dokonań... Czasami — ale tylko czasami — udawało mu się skłonić ją, by z kolei posłuchała o jego zamierzeniach. Nad ich wzajemnymi zwierzeniami wisiał cień tego samego duchowego dystansu, który przeszkadzał im w dziecięcych zabawach. Ta sama inność, którą wzajemnie w sobie wyczuwali, długo powstrzymywała ich nawet od pocałunku, a gdy wreszcie odważyli się przekroczyć granicę erotyki, oboje pojęli natychmiast, że było to po raz pierwszy i

ostatni, bo i w tej sferze rozdziela ich niewidzialny mur. Mimo wszystko jedynie jemu wyjawiała zamiar ucieczki z rodzicielskiego domu i podróży na Pogranicze. Z początku nie traktował tej zapowiedzi zbyt poważnie. Zdawała mu się mieszanym marzeń i snów z jawą, czego świadkiem nieraz już bywał wcześniej. W pełni uwierzył w nią dopiero wtedy, gdy przeistoczyła się w fakt.

Dziewczyna z sąsiedztwa... Ograny temat najbanalniejszych melodramatów... A przecież odczuł jej nagłą nieobecność mocniej, niż mógł oczekiwać. Podjął wkrótce studia politechniczne w Phoenix, a po nich przyszły lata praktyki w Mainstream Products. Spotykał w tym czasie dziewczyny, które rozumiał o wiele lepiej i które rozumiały jego; poznał bliskość tak różną od twardych, bolesnych zderzeń, dotknięć przez grubą tafłę szkła. Jednak wciąż czuł, że tamta pierwsza, ta, która kryła w sobie tajemnicę, nie pozwala wypełnić się pustej przestrzeni, jaką zostawiła w jego życiu. Raz porwał się nawet na złożenie jej wizyty w Paryżu. I doznał wstrząsu. Zobaczył ją na tle innej rzeczywistości i pojął, że tak samo jak ona — nieprzeniknione jest dla niego całe owo tło. Zwolnione tempo, zapatwienie w przeszłość, szare pełzanie codzienności — może była to gleba, z której wyrastali filozofowie i artyści, ale wędnąć na niej musieli ci, co gonili za pomysłami zwróconymi ku faktycznemu zmienianiu świata, pomysłami wymagającymi błyskawicznego działania, prób i ryzyka błędu. Ona czuła się tam jak ryba w wodzie, ale dla niego trudno byłoby znaleźć miejsce. Po powrocie pierwszy raz w życiu zrodziło się w nim pragnienie, by głębiej poznać sens granic rozdzielających Główny Nurt., Pogranicze i enklawy. Rzucił się na bezlik informacji i studiował je pilniej niż cokolwiek dotąd. Konferencji w Palermo pierwszy raz nie traktował jak faktu i daty, których znajomością trzeba się było wykazywać na lekcjach nie lubianej historii, ale jak mechanizm, który rozkłada się na części, by lepiej zrozumieć jego działanie. Dopiero teraz naprawdę do niego dotarła nowatorska treść politycznych rozwiązań wypracowanych przez Steelwooda, Ruzwielowa i Kostiolowsky'ego, dopiero teraz docenił zbiorowy geniusz tej trójki i zespołów negocjacyjnych, którym przewodniczyli w czasie pamiętnych, przełomowych tygodni na Sycylii. Zdobyli się na to, by nie dążyć za każdą cenę do zagarnięcia jak największych obszarów i do spędzenia ludzi w jak najliczniejsze stada. Zdobyli się nawet na więcej — na to, by potraktować planetę jak wielką wspólność, a z odwiecznej różnorodności ludzkich natur wyprowadzić ostateczne konsekwencje. Klucz do upragnionej, ogólnoświatowej stabilizacji znaleźli w wielkiej wędrowce — nie, nie ludów: jednostek.

W wędrowce, u której końca każdy miał znaleźć naprawdę odpowiadający mu kąt. No bo po cóż jedni mieli trafiać do zakładów psychiatrycznych nie sprostawszy tempu przemian, a gdzie indziej inni podzielać ten sam los — doprowadzeni do szaleństwa przez jednostajność i nudę swego bytowania? Dlaczegoż jedni mieli się zżymać na otaczające ich zacofanie, a gdzie indziej drudzy żałować, że nie przyszli na świat przed stuleciem czy tysiącleciem? To przecież z tego — ze zderzania się ludzkich pragnień i predyspozycji z rzeczywistością — brały się wszystkie napięcia, wstrząsy i katastrofy współczesności (łącznie z tą największą, tą, która bezpośrednio poprzedziła sycylijskie obrady). A wyjście okazało się genialne w swej prostocie: wystarczyło wyznaczyć obszary dynamicznego rozwoju, szaleńczego pędu ku przyszłości, obszary zamrożonej teraźniejszości i enklawy nieskrępowanej, historycznej zabawy, a potem każdemu pozwolić udać się tam, gdzie zechce. Aż dziw, że trzeba było Palermo, by to odkryć. Że nikt nie wpadł na to wcześniej... Tak, dopiero teraz po dorosłemu, na serio przyjmował do wiadomości reguły gry, na których opierał się otaczający go świat. I akceptował je. Jednocześnie rosło w nim przekonanie, że nie może żyć poza Głównym Nurtem. Nie żałował wyprawy na Pogranicze i czasu poświęconego studiowaniu

mechanizmów „sycylijskiego ładu”, bo dzięki nim mógł dokonać ostatecznego wyboru bez wątpliwości i bez wahań. Tylko tutaj, na którymś z brzegów Atlantyku czy Pacyfiku, mógł odnaleźć samego siebie, walczyć o spełnienie marzeń, co byłyby zrozumiałe i godne szacunku także w oczach innych, sięgać po laury, których gdzie indziej nie przyznawano wcale. Dziewczyna z sąsiedztwa... No cóż, jej natura, marzenia i zwycięstwa przynależały do innej strefy. Albo błąkały się pomiędzy strefami. Skazani byli na to, by przechodzić obok siebie, rozmijać się, odpychać swoją innością... Potwierdzało to każde kolejne spotkanie.

14.

Dlaczego znaleźli się akurat tutaj? Co przywiodło ich w to miejsce — przypadek czy też jakaś świadoma moc pod przypadek tylko się podszywająca? Takie pytania powracały do niego na nowo i na nowo, uparcie przebijały się przez otaczające go pejzaże, ilekroć choćby na chwilę zatrzymał na nich oczy. Dlaczego te dwa nieodległe wzgórza? Dlaczego ten kąt, któremu brak wyraźnych cech którejkolwiek strefy? Skąd naprzeciwko niego, który dotarł do krańców sztuki, pojawił się człowiek, który wyczerpał zadania ziemskich nauk i powtarza, że wszyscy, *wir alle*, musimy umrzeć, by życie znalazło nową formę?

Nie znajdował odpowiedzi. Zresztą może wcale ich tak bardzo nie pragnął; zdarzało mu się już, zwłaszcza bezpośrednio po rozmowach z Hubschem, że gdzieś w głębi mózgu czuł dojrzewanie myśli przewiercających wszystko do sedna, rozświetlających nagłym, białym blaskiem mroczne pola skojarzeń. Ale nigdy nie pozwolił im wyłonić się do końca — w jakimś momencie nieodmiennie je powstrzymywał, tłumił i tłamsił.

W gruncie rzeczy wolał rzeczywistość, która nęka pytaniami, od takiej, co musiałaby stać się zupełnie przejrzysta, zupełnie pozbawiona tajemnic.

W przymiarkach do różnorakich wyjaśnień i w pospiesznym wypieraniu ze świadomości tych, co mogłyby zaprowadzić najdalej, zawarta była swoista gra: wiem? może i wiem... w końcu jednak wiem? nie! nie wiem!

Intelektualne gry, rozpamiętywanie obrazów z przeszłości, zabawy wyobraźni — wszystko to zajmowało mu o wiele więcej czasu niż czynności składające się na codzienną egzystencję. Na zewnątrz jego czas przepływał jednostajnie i leniwie, ale w jego świecie wewnętrznym kipiało bogactwo zdarzeń.

Czasami zastanawiał się, co bardziej jest treścią jego życia — czy to, co dzieje się wokół niego, na wzgórzu i w okolicach, czy to, co kłębi się zamknięte pod sklepieniem jego czaszki. Sytuacja sprzed lat, o zatartych już trochę szczegółach, sytuacje, które kiedyś przewidywał, lecz do których ostatecznie nie doszło, sytuacje nieprawdopodobne, stanowiące owoc czystej fantazji — wszystkie były w nim. Istniały w nim na równych prawach, mieszały się ze sobą i przez siebie wzajemnie przenikały. Przychodziły chwile, w których tracił rozeznanie, czy wspomina minioną rzeczywistość, czy dawny twór swojej wyobraźni. Albo czy wyobraża sobie coś zupełnie nowego, czy tylko rekonstruuje coś, co się już zdarzyło. Na zewnątrz nosił maskę człowieka spokojnego, aż do przesady manifestował swoje opanowanie. W świecie wewnętrznym nieustannie doznawał ogarniających całą jego istotę, najprawdziwszych wzruszeń. Wśród zmyślnego i przeobrażonego w myśl żył bardziej spontanicznie i intensywniej niż wśród widzialnego i dotykającego. Może — w szczególny sposób — spełniały się w jego przypadku koncepcje Hubscha? Może już, nie całkiem tego świadom, gotował się, by wkroczyć w rejony, gdzie byt przeobraża się w wyzwoloną świadomość? Gdzie czeka go pełnia uczestnictwa we wszechinformacji? Jego mózg odwracał się od materialnych form egzystencji,

lekceważył je. Zamykał się sam w sobie, wizjom, które sam z siebie wysnuwał, nadawał znaczenie większe niż obrazom odbieranym z otoczenia. Czy brakowało już tylko kroku? Nie! Nie mogło tak być! To, co wewnątrz niego, chwilowo interesowało go bardziej niż to, co na zewnątrz, ale przecież nic nie stało na przeszkodzie, by w dowolnie wybranym momencie układ odwrócić. W każdej chwili możliwy był powrót do najzwyczajniejszej, trójwymiarowej, oswojonej i w pełni zrozumiałej rzeczywistości.

W jego wewnętrznym świecie nie było teraz nikogo, kto znaczyłby więcej niż Bella (już od dłuższego czasu przestała być dla niego anonimową dziewczyną w blichtrksowym kombinezonie; nazywał ją po imieniu, bo zdążyła stać się kimś naprawdę mu bliskim). Przez wiele wieczorów i nocy tylko jej twarz pojawiała się przed jego wbitymi w mrok albo przymkniętymi oczyma, wyłącznie do niej płynęły jego nie wypowiedziane na głos słowa. Niejeden już raz usprawiedliwiał przyjęcie, jakie spotkało ją z jego strony, gdy przybyła, by prosić o pomoc przy pisaniu książki. Jeszcze częściej opowiadał jej o tych właśnie sprawach i zdarzeniach, które chciała wtedy od niego wydobyć. Dzieląc się z nią wspomnieniami, zwracając jej uwagę na to, co uważał za szczególnie ciekawe lub osobliwe, objaśniając szczegóły — sam przybliżał się ku lepszemu zrozumieniu własnych losów. I nie krył tego przed nią. Dzięki tobie wiele rzeczy stało się dla mnie jaśniejsze, mówił, wreszcie je sobie uporządkowałem. Zanim się u mnie zjawiłaś, zastanawiałem się niekiedy, dlaczego właściwie znalazłem się akurat tutaj, co oznacza mój pobyt w tym miejscu. Ale wtedy wydawało mi się, że może to mieć jakiegokolwiek głębsze znaczenie tylko w związku z osobą Hubscha, wiesz, mojego genialnego sąsiada, z nie zaplanowaną bliskością naszych samotni. Przy tobie jeszcze raz przeszedłem całą moją drogę. Tę jak najdosłowniejszą pojętą drogę, szlak w przestrzeni — z Głównego Nurtu na Pogranicze i z powrotem do Głównego Nurtu, a później ku mojej przystani tutaj. To była okazja, bym uświadomił sobie wyraźniej niż dotąd, że w samym moim wędrowaniu odbija się jak . w zwierciadle treść istotniejsza, stany mojego ducha bezpośrednio wynikające z natury stref. Będąc młodym artystą dusiłem się w Głównym Nurcie; boleśnie dotykała mnie drugorzędność mojej roli, jej usługowo — rozrywkowy charakter. Pociągnąłem na Pogranicze, bo wydawało mi się, że tam zajmującym się sztuką przysługuje wciąż status kapłanów, mężów poważnych i szanowanych. I może nawet moje oczekiwania spełniły się w pewien sposób, ale rychło zacząłem się dusić na nowo. Tyle że z innego powodu.

Dotykowce wystawiałem jeszcze w Paryżu. I w Paryżu ogłosiłem swój manifest — przy okazji mogę ci w tajemnicy zdradzić, że nie była to moja samodzielna praca: odwalił ją za mnie jeden z moich ówczesnych przyjaciół, Michael Plant, opowiem ci kiedyś o nim. Ale chociaż z dotykowcami i manifestem poszło mi gładko, to moich tuneli dotknąć Paryż już nie przełknął.

Uznano je za wybiegające poza ramy dopuszczalnych nowości, za zbyt bulwersujące, a nawet groźne dla pogranicznego ładu i spokoju. CSA — znasz Pogranicze, więc pewnie wiesz, co to jest, tak, zgadza się: Komisja Nadzoru Sztuki — otóż CSA zabroniła mi publicznej prezentacji prac. Musiałem się wynosić. Pierwszy pokaz urządziłem tuż po drugiej stronie granicy — w Andorze. No i odniosłem wielki sukces, dosłownie z dnia na dzień stanął dla mnie otworem cały Główny Nurt.

A Pogranicze? Coś niecoś musiało do nich przeciec od razu, ale były to pewnie pogłoski i plotki, które nie wyszły poza wąski krąg wtajemniczonych. Dopiero z czasem zaczęto tam pisać o moich pracach, a nawet wykladać o nich w artystycznych uczelniach; w końcu sama dowiedziałaś się o moim istnieniu na zajęciach z Lauranem. Ale prezentować tuneli nie wolno nawet dzisiaj. Może zgodzą się na jeden czy dwa za sto lat? Może... Zresztą przyznam ci się, że wtedy, gdy zaczęła mnie

nieść fala, co podniosła się zaraz po andorskim wernisazu, nie zaprzętałem sobie głowy Pograniczem. Dało mi już, co dać mogło — solidną wiedzę o dawnej sztuce, warsztat, a przede wszystkim pogłębione spojrzenie na rolę artysty, wiarę w jego powołanie do wielkich, poważnych zadań... Tak wyposażony nie oglądałem się za siebie, lecz myślałem o zmierzeniu się z Głównym Nurtem. Powracałem za Atlantyk jako gwiazda i wydawało mi się, że z tej pozycji nie sposób spaść do roli błazenka, beztroskiego dostawcy rozrywek.

Teraz ja miałem decydować o tym, co jest ważne, a co nie, wpływać na bieg spraw i na postawy ludzi, sprawować swoistą władzę... Przez długi czas wiele sprzyjało umocnieniu we mnie takiego przekonania: propozycje, ba! — wręcz błagania ze strony najsłynniejszych galerii i muzeów, tysiące chętnych tłoczących się, by chociaż raz przejść przez któryś z tuneli, okrzyki zachwytu z tysięcy ust, zapewnienia o bogactwie doznanych przeżyć... Coraz mocniej wierzyłem w swój charyzmat, a prawdę powiedziawszy — stawałem się zadufkiem. Otrzeźwienie przyszło nagle i w okolicznościach tak niedorzecznych, że aż śmiesznych. Po uroczystym otwarciu pokazu dwóch specjalnie na tę okazję skonstruowanych tuneli w najmodniejszej galerii Hongkongu wybrałem się na spacer hałaśliwymi uliczkami miasta. Szedłem przed siebie, bez żadnego planu i same nogi zaniósły mnie do otaczającej port dzielniczy marynarskich uciech — dzielniczy barów, hotelików i dość podejrzanych kabaretów. Nagle stanąłem jak wryty, bo nad wejściem jednego z nich dojrzałem wielki neon, w który wkomponowane było moje nazwisko! Po chwili zrozumiałem, że nie stało się to przypadkiem, że to żadna losowa układanka wynikała z przepalenia się części liter czy konsekwencja dalekiej od jakiegokolwiek sensu, fonetycznej zbieżności. Naprawdę chodziło o mnie! Pulsujące kolorami litery głośiły: „GOGO DANCERS — BOSSYN STYLE”. Tuż obok tę samą — jak przypuszczałem — treść przekazywał słupek ułożony z tradycyjnych znaków Wschodu. Możesz sobie wyobrazić, jak mnie to zaciekało?! Rozbierane tańce w stylu, który uznano za stosowne powiązać z moją osobą! Zdarzało się ludziom dawać swoje nazwiska potrawom, fryzutom, posunięciom w szachach i pchnięciom w szermierce, ale stać się imiennikiem striptizu?! Musiałem tam wejść i dowiedzieć się, o co chodzi. Sala miała kształt owalny. Jej ściany od podłogi do sufitu pokrywały lustra, a na tym tle zawieszane były ażurowe półki pełne butelek z najbardziej wyszukanymi trunkami; efekt wielokrotnych zwierciadlanych odbić sprawiał, że butelki wydawały się jeszcze liczniejsze niż w rzeczywistości, a nalepione na nich etykiety barwniejsze i bardziej kuszące. Przed półkami, na całej ich długości, biegł uformowany w podkowę bar, przed którym — jak wbite w podłogę monstrialne hufnale — sterczały wysokie, obrotowe stołki. Z metr nad rzędami butelek, w miejscu najdogodniejszym dla oczu gości, na niewidocznych linach unosiła się w powietrzu ogromna, przejrzysta rura z grubego, wzmocnionego blichtreksu.

Stanowiła zamknięty krąg; jakiś olbrzym mógłby jej używać jako pływackiego koła. Zdażyłem usiąść i zamówić jakiś koktajl, gdy wszystkie światła przygasły i tylko wewnątrz rury wypełniło się mocnym, purpurowozłotym blaskiem. W tym samym momencie spostrzegłem, że nie jest ono puste — leżały tam poduszki z puszystego, miękkiego futra, kołysały się, zaczepione na linkach, dziwne formy ze lśniącego metalu, gdzieniegdzie wyrastały pęki strusich piór. Rozległa się ostra muzyka i do rury niepostrzeżenie wślizgnęła się naga dziewczyna. No, można by powiedzieć, że prawie naga, gdyby za namiastkę stroju uznać wąską, czarną przepaskę na oczach; jej twarz wyglądała w niej jak ze zdjęcia w kryminalnej kronice albo w medycznym podręczniku. Właściwie od zmiany światła domyślałem się, jaki to wszystko ma związek ze mną, ale teraz sprawa stawała się zupełnie jasna. Też już pewnie na to wpadłaś: twórca rury inspirował się moimi tunelami dotknięć, to miał być pokaz tego, co z

założenia niewidoczne dla postronnych — tego, co dzieje się z osobą przechodzącą przez tunel... Gnąc się w rytmie muzyki, dziewczyna zaczęła posuwać się wzdłuż rury. I albo rzeczywiście poruszała się po omacku, albo bardzo dobrze to pozorowała. Napotykając na swej drodze kosmate lub gładkie przeszkody, przytulała się do nich, ocierała o nie, tarzała i wiła się pośród nich... Wyobrażasz sobie pewnie, jak bardzo wyuzdany i lubieżny był każdy jej gest. W końcu to miało stanowić największą atrakcję widowiska. Ale nie przyglądałem się całości jej popisów. Wyszedłem w trakcie myśląc o czymś związanym wprawdzie z nimi, ale znacznie dla mnie ważniejszym; właśnie wtedy zdałem sobie sprawę, że jednak to nie ja Główny Nurt, lecz on mnie pokona. Przeżuje moje pomysły, w potężnych szczękach rozetrze je na lepki proszek, a potem splunie nimi i ulepi coś takiego jak tutaj. I jeszcze na ironię nada temu moje imię. Być może tysiące poznają moje tunele w oryginale, ale takie niewczesne adaptacje, takie koślawe „bossyny” — kojarzyć się będą z moją osobą milionom. Z czasem tylko nieliczni koneserzy będą pamiętać, co naprawdę chciałem powiedzieć. Przesadziłbym twierdząc, że to przygoda w Hongkongu skłoniła mnie do porzucenia świata i ucieczki na odludzie; mówiłem ci już wcześniej o refleksjach, jakie obudziły się we mnie przy próbach z penta–artem — to one zadecydowały. Ale na pewno wtedy przypomniały mi się słowa kogoś, kto był mi kiedyś bardzo bliski. To było coś w rodzaju przepowiedni czy wróżby — że Pogranicze mnie odrzuci, że Główny Nurt wyeksploatuje mnie i opuści, gdy się mną znudzi, a w enklawach nigdy nie będę miał nic do szukania... I że moim przeznaczeniem jest trafić do „miejsca poza czasem”. No i trafiłem... A kiedy przybyłem do celu, z drugiej strony dotarł do niego Hubsch.

Czuła się śmiertelnie zmęczona. Całe jej ciało wypełniał chłód, którego nie mogło rozproszyć słabe, jesienne słońce. Skóra twarzy i rąk wydawała się naciągnięta, jak wyschlłym żelem oblepiona pyłem długiej drogi. U Fouqueta część stolików wciąż pozostawała na zewnątrz, na szerokim trotuarze. Zajęła miejsce przy jednym z nich. Mogła stąd widzieć Łuk Tryumfalny. Mogła też przyglądać się przechodniom i zawczasu próbować zgadnąć, która ze zbliżających się kobiet jest panią Nardi. Ale chociaż już cały kwadrans upłynął od umówionej pory spotkania, żadna nie wydała się jej tą, na którą czekała. I żadna nie była. Zaczęła kartkować najświeższy zeszyt „Revue des Trois Mondes”, który miał odegrać rolę jej znaku rozpoznawczego. Ale od reportażu z enklaw wiało nudą, filozoficzne dywagacje na temat Głównego Nurtu raziły propagandowymi spłyconiami i naciąganiem argumentów, a to, co napisano na temat samego Pogranicza, było tysięcznym albo stutysięcznym powtórzeniem myśli wałkowanych od dziesięcioleci i w ogóle nie nadawało się do czytania.

Odłożyła pismo na stół. Opuściła powieki i przed jej oczyma popłynęły pasmem bezładnie pomieszczone obrazy, które w ciągu minionych dwudziestu godzin utrwaliła jej pamięć. Minęła długa chwila, nim zdołała je uporządkować i poskładać z nich epizody. Najpierw usłyszała leciutki, stłumiony stukot, a zaraz potem głos stewardesy informującej, że transatlantyki wahadłowiec zakończył swój lot i osiadł na płycie lądowiska Vizcaya w Hendaye. Podniosła się z fotela i wraz z innymi pasażerami udającymi się na Pogranicze poszła ku drzwiom w tyle maszyny; ci, którzy podążali ku celom podróży w obrębie Głównego Nurtu, po zachodniej stronie Pirenejów, wysiadali przodem. Blichtreksowym rękawem, który niczym chłonna trąba jakiegoś potwora przyssał się do otworu w burcie wahadłowca, przemaszerowała do niezbyt szerokiego korytarza, który zdawał się nie mieć końca. Przypominał podziemny kanał; jego środkiem, tam, gdzie powinny były płynąć ścieki, szybko sunął ruchomy chodnik. Mocno postawiła na nim prawą stopę, a potem zaczęła iść długimi krokami przez kilka minut ciesząc się pozorem tanecznej lekkości, niemalże unoszenia się w powietrzu. Korytarz rozszerzył się nagle i urwał przed ścianą, w której tkwiły dziesiątki prowadzących ku przebieralniom drzwi. Odnalazła wśród nich oznaczone numerem tym samym, co jej fotel w wahadłowcu, i weszła. Jej bagaże już czekały. Zrzuciła kombinezon i wydobyla z walizy przygotowany w przeddzień wyjazdu strój: pantofle na wysokich obcasach, rajstopy, spódniczkę, bluzkę, sweterek, prochowiec... Wiedziała, że z początku będzie się w tym czuła bardzo dziwnie, że miną godziny, a może i doby, nim na nowo się z tym oswoi. Uznawszy, że jest gotowa, wkroczyła w przestrzeń po drugiej stronie śluzy. Musiała zmrużyć oczy; dzień jeszcze się nie skończył, ale mimo to dookoła płonęły niezliczone reflektory. Lały strumienie białego blasku ze szczytów wysokiego, betonowego muru, który zostawiała za plecami (przebieralnie mieściły się u jego podstawy), ze słupów, na których gęsto rozpięte były kolczaste druty (zasięki wyznaczały skraje drogi, którą należało pójść teraz), z wartowniczych wieżyczek. Nie pierwszy raz mijała tę granicę, oczekiwała tej scenerii godnej najkoszmarniejszego ze snów Franza Kafki, a przecież nie mogła opanować

wewnętrznej napięcia.

Ubrana grubiej niż kiedykolwiek w ostatnich miesiącach — czuła się bardziej niż naga. Nie pierwszy też raz bezskutecznie próbowała dociec sensu takiego właśnie urządzenia granicznego przejścia. W myśl postanowień z Palermo każdy człowiek miał prawo w dowolnym momencie opuścić strefę, w której akurat przebywał — sytuacja, w której ktokolwiek musiałby się z Głównego Nurtu na Pogranicze (albo w kierunku odwrotnym) przemykać ukradkiem, była zupełnie nie do pomyślenia. A to, czy ktoś nie wwozi na Pogranicze niedozwolonych — w trosce o samopoczucie jego mieszkańców — nowinek technicznych, dałoby się sprawdzać metodami o wiele mniej ostentacyjnymi. Czyżby więc jedynym celem reflektorów, zasieków i barier miał być efekt psychologiczny? Czy chodziło o to, by nie pozwolić wędrowcom na zbyt łagodne, wyprane z emocji przejście ze świata do świata? By zmusić ich do jak najgłębszego przeżycia tej chwili? Wlokąc za sobą walizkę ruszyła ku wiacie, pod którą znajdowały się stanowiska kontrolerów. Rozdzielały je wąskie przesmyki zamknięte barierami w białe i czerwone pasy. W głębi można było wypatrzyć następną taką samą wiatę, a dalej jeszcze jedną — drugi rząd kontrolerów sprawdzał jakość pracy rzędu pierwszego, a trzeci nadzorował oba poprzednie. Dopiero gdy nad ostatnim przesmykiem zapalało się zielone światło i ostatnia bariera z metalicznym szczęknięciem odskakiwała na bok, Pogranicze naprawdę stawało otworem. Wciąż kierując się numerem fotela w wahadłowcu, podeszła do właściwego stanowiska. Za szeroką, stalową ladą stał młody mężczyzna w szarozielonym mundurze o złotych epoletach i licznych, kolorowych naszywkach na lewej piersi. Wprawnymi ruchami rzucił na ladę, pootwierał i przeszukał jej bagaże. Raz tylko, natrafiwszy wśród bielizny na sans-culotki, zawahał się. Sięgnął po ogromną księgę, która okazała się katalogiem zawierającym szczegółowe opisy i zdjęcia najróżniejszych przedmiotów.

— Sankiulotki... sankiulotki... sankiulotki... — mrucał pod nosem przerzucając kartki. Trafił na właściwe hasło i pogrążył się w lekturze.

— No dobrze! — powiedział zatrzasnąwszy księgę. — Ten fason jest dozwolony — popatrzył na nią i coś podobnego do uśmiechu przemknęło przez jego usta. — Widzę, że zna się pani na naszych zwyczajach... i na naszej modzie... Blichtreksowego kombinezonu raczej by pani ze sobą nie wzięła, co?

— Oczywiście, że nie! — przytaknęła mu żywo. Ale równocześnie pomyślała, że spojrzenia, jakimi już parę razy prześlizgnął się po jej sylwetce, dowodnie świadczą o tym, iż on sam nie miałby nic przeciwko temu, by właśnie blichtreksowe kombinezony były jedynym strojem noszonym przez kobiety. Przynajmniej przez niektóre.

Zażądał, by pokazała mu, co ma w torebce, a ona bez wahania odwróciła ją do góry dnem i na metalowy blat wysypała całą zawartość. Starannie zaczął przeglądać bezładną stertę najróżniejszych drobiazgów. Nagle jego oczy rozblęły.

— Co to jest? — wykrzyknął i wyciągnął ku niej rękę, w której trzymał czarną skrzyneczkę o rozmiarach puszek herbaty.

W pierwszym momencie sama nie bardzo wiedziała, co to takiego. Musiało upłynąć paręnaście sekund, nim przypomniała sobie spotkanie z Billym, to, jak wręczył jej swój prezent i jak schowała go do torebki, którą wtedy nosiła. Później, kompletując dodatki do stroju na Pogranicze, bezmyślnie, machinalnie przepakowała do nowej torebki wszystko, co miała przy sobie dotąd.

— To flip... — szepnęła bezradnie.

— A może Flap? Co? — zapytał. Nowy cień uśmiechu sygnalizował, że pytanie miało być

żartem. Nie od razu go zrozumiała. Znowu upłynęły sekundy, nim przypomniała sobie, że fundamentem programu w telewizji Pogranicza są archiwalne komedie: Flip i Flap! Oczywiście! Jak mogła od razu na to nie wpaść.

— Nie! To tylko flip! — powiedziała o wiele śmielszym głosem. — Face-lifting projector. To zupełnie niewinna zabawka.

— Niewinna zabawka, tak? — mruzczał obracając aparacikiem i oglądając go ze wszystkich stron. Po kilku chwilach wskazującym palcem prawej ręki zaczął dziobać w jeden punkt na jego obudowie. — Niewinna zabawka! Niewinna zabawka wyprodukowana przez CIA, co? — wrzasnął. Jego oczy błyszczały jeszcze mocniej niż wtedy, gdy wypatrzyły flipa wśród innych drobiazgów.

— CAI, a nie CIA — sprostowała. — Colton's Amusement Instruments. To firma mojego przyjaciela. I nie ma nic wspólnego z CIA. Agencja od dawna przecież nie istnieje.

— Od dawna nie istnieje... — powtórzył za nią; jego oczy przygasły wypełnione cieniem zawodu. — Ale i tak trzeba sprawdzić, czy te flipy objęte są zezwoleniem na przywóz.

Znowu sięgnął po swoją ogromną księgę i znowu zaczął przerzucać jej kartki.

— Flip... flip... flip... — powtarzał sobie cichutko.

Wiedziała, że flipa nie może tam znaleźć. Ale nie próbowała przeszkodzić mu w szukaniu. Czekala, co z tego wszystkiego wyniknie. Starala się opanować zniecierpliwienie.

— Nie ma tu żadnych flipów! — obwieścił tryumfalnie. — Będzie depozycik! Zaraz wypiszemy kwit.

Z szuflady pod ladą wyciągnął gruby blok o arkuszach podzielonych na niezliczone rubryki, a rozmiarami dorównujących sporej chustce do nosa. Wyciągnął też kopiowy ołówek i plik nieco zużytych kalek.

Z namaszczeniem zaczął nimi przekładać karty bloku; obliczyła, że oprócz oryginału powstanie jedenaście kopii. Możliwe, że innego dnia przyglądałaby się temu z zainteresowaniem — niebanalne rozwiązania Pogranicza fascynowały ją od dawna. Ale dzisiaj miała już dosyć.

— Niech pan nie pisze! — powiedziała szybko. — Ten flip nie będzie mi więcej potrzebny.

Podniósł głowę i ich spojrzenia na moment się spotkały. Zrozumieli się. Jego palec przycisnął właściwy guzik: zapłonęło zielone światło, otworzyło się przejście. Błyskawicznie zgarnęła do torebki wszystko poza flipem, porwała pozostałe bagaże. Stawiając pierwszy krok spostrzegła kątem oka, że metalowy blat lady jest już zupełnie pusty. Flip i formularze zniknęły jednocześnie.

— Madame? — mężczyzna, który to powiedział, musiał stać tuż obok niej. — Madame?! — jego głos przybrał na sile zdradzając odrobinę irytacji. To zmusiło ją do otwarcia oczu. Kelner już drugi raz zatrzymywał się przy jej stoliku. Przedtem odesłała go mówiąc, że na kogoś czeka. Ale teraz? Pani Nardi wciąż jeszcze się nie zjawiała, a ona marzyła o kawie.

— *Donnez-moi un cafe* — powiedziała. — *Avec un peu de lait.*

Skinął głową, ale nie odchodził; zdawał się na coś czekać. Rzuciła mu pytające spojrzenie.

— *Votre bons, s'il vous plait* — powiedział.

Nadal nie wiedziała, o co mu chodzi.

— *Your ration — card for coffee* — wyjaśnił cierpliwie, z wysiłkiem wymawiając obce dlań słowa; po akcencie albo po czymś innym, specjalnym kelnerskim zmysłem poznał już, że pochodziła spoza Pogranicza.

Kartki! Zapomniała zupełnie, że będą jej tutaj potrzebne. Nie zaopatrzyła się w ich zapas na granicy i teraz, pojawiwszy wreszcie, czego żąda kelner, mogła jedynie bezradnie rozłożyć ręce.

Odwrócił się bez słowa. Pomyślała, że jest skończonym chamem i że go nienawidzi. Ale w chwilę później przyszło jej zmienić zdanie. Nie okazał się najgorszy: w białej filiżance z Limoges przyniósł jej parującej, prawie wrzącej wody, a na dodatkowym talerzyku kostkę cukru. Zaczęła szybko łykać gorący, słodkawy płyn i znowu przyglądać się przechodniom — raz tym zbliżającym się od strony Łuku Tryumfalnego, a raz tym od strony Luwru. Ale po chwili, gdy w filiżance nie została już nawet jedna kropla, jej powieki opadły ponownie.

Zaraz po drugiej stronie granicy, w Biarritz, dowiedziała się, że wszystkie miejsca w samolotach do Paryża wyprzedane są na trzy miesiące z góry. W nastroju, jaki ją od paru chwil opanował, nie wyobrażała sobie, by mogła znieść monotonię jazdy pociągiem. Pozostawał samochód; nie prowadziła od dosyć dawna, ale prawo jazdy, które zdobyła w czasie studiów, nie utraciło ważności. W garażu najbliższego hotelu wynajęła potężnego forda. Nie знаła tego modelu, ale ponieważ wyposażony był w automatyczną skrzynię biegów, sądziła, że zdoła nad nim zapanować. Obsługa garażu zapewniała ją o znakomitym stanie wozu i o tym, że napełniony po brzegi bak wystarczy tylko na ponad siedemsetkilometrową trasę do Paryża, ale i dalej. Nie zwlekając ruszyła w drogę. Z początku wszystko szło świetnie — autostradą A-10 pędziła ku Bordeaux, Poitiers, Tours, Orleanowi i celowi podróży, wyliczała sobie, że wszystko nie zajmie jej więcej niż dziesięć godzin. Ale potem dzień ostatecznie dobiegł końca i na świecie ściemniło się, a na domiar złego zerwał się wiatr i spadł deszcz. W polu objętym blaskiem reflektorów raz po raz przesuwały się jakieś tajemnicze cienie i zmuszały do gwałtownego naciskania hamulca; z bliska okazywało się, że to niesiony wiatrem pęk trawy, kołyszący się przydrożny krzew albo zupełnie nic — najzwyczajniejsze przywidzenie. Szybko poczuła się zmęczona, a po dalszych paru dziesiątkach kilometrów zaczęła ogarniać ją senność. Sztywno trzymała wysoko podniesioną głowę i szeroko, aż do bólu, otwierała oczy, a i tak przychodziły chwile, w których samochód wpadał na pobocze albo wchodził w nie istniejące zakręty. I znowu rozpaczliwie piszczały trące o asfalt opony. Mimo wszystko nie potrafiła zdecydować się na to, by zjechać na któryś z przyległych do autostrady parkingów. Jeszcze kawaleczek, szeptała do siebie przelatując obok niebieskich znaków, jeszcze parę kilometrów...

Zatrzymam się na następnym. Paryż wciąż przyciągał ją z nieprzepartą, magiczną siłą. To nie jest smugowiec, szeptała, pamiętaj, że prowadzisz sama i nie wolno ci zasnąć, sen to śmierć... Sen to śmierć, wbijała paznokcie w zaciśnięte na kierownicy dłonie, sen to śmierć... O brzasku, parę minut po piątej, dotarła zaledwie na wysokość Blois; od Orleanu dzieliło ją jeszcze pięćdziesiąt kilometrów, od Paryża wciąż prawie dwieście. Ale wstający dzień nieco ją orzeźwił; w jego świetle zmęczone oczy łatwiej mogły śledzić drogę. Przyśpieszyła. Z satysfakcją patrzyła, jak strzałka szybkościomierza wspina się ku górnym rejonom skali i już nie pozwalała jej opaść. Po kolejnej godzinie jazdy, gdzieś w okolicach Janville, krótko po tym, jak minęła wylot na drogę do Chartres, na desce alarmująco zamigotało czerwone światełko. Pamiętała, co powiedziano jej w garażu, i wykluczała, by mogło to oznaczać wyczerpywanie się paliwa. Ale w takim razie co? Nie miała pojęcia. Nie, szepnęła, nie, samochodziku, nie możesz mi tego zrobić, nie teraz... Na razie w pracy silnika nie zaszła żadna słyszalna zmiana, koła wciąż toczyły się równo, wycieraczki bez wytchnienia, w tę i w tę, nadal przesuwały się po powierzchni szyby. Najrozsądniej byłoby się zatrzymać, rozeznac dokładnie wśród wszystkich wskaźników, może poprosić kogoś o radę i pomoc. Ale tak samo jak przedtem nie potrafiła podjąć decyzji, wybrać miejsca i chwili na zmniejszenie szybkości i włączenie prawego migacza. Jeszcze kilometr, jeszcze kilometr, jeszcze... Wreszcie zmęczenie, nieustanne napięcie nerwów i niecierpliwe wyglądanie celu doprowadziły ją do ataku

wścieklej, ślepej agresji; wduszając pedał gazu aż do oporu czuła teraz mściwe zadowolenie, zaciskała zęby wyobrażając sobie, że jest jeźdźcem, który bez litości smaga batem goniącego resztą sil wierzchowca. Musisz jechać, syczała, musisz! musisz! musisz! Przemknęła obok wielkiej tablicy, na której fosforyzującą farbą wymalowany był kontur Notre Dame i informacja, że do progów katedry pozostało pięćdziesiąt kilometrów. Z każdą sekundą ruch gęstniał, a po kolejnym kwadransie autostrada wachlarzowato rozszerzyła się w pięć pasm i płynnie wpadła w rwący nurt Boulevard Peripherique. Panowała godzina porannego szczytu.

Bulwarem, w obu kierunkach, sunęły z wielką szybkością nie kończące się węże samochodów. Po pięć w każdym kierunku. Limuzyny i ciężarówki niemalże szepiały się zderzakami, ocierały burtą o burtę. Wyły silniki i klaksony, błyskały reflektory, spaliny błękitną mgiełką unosiły się na parę metrów ponad asfalt. Wjechała na bulwar przez Porte d'Italie. Zjechać z niego zamierzała przez Porte Dauphine, skąd Avenue Foch najłatwiej mogła się przebić ku Polom Elizejskim.

Samochodziku, szeptała czule zapomniawszy już, co było niedawno, samochodziku, jeszcze tylko kilka kilometrów... Ale właśnie wtedy, akurat gdy przesunęła się na środkowy pas, by płynnie minąć wyloty Porte de la Plaine, w silniku coś zacharczało, stęknęło i trzasło. Całym wozem szarpnęły kilka razy rozpaczliwe drgawki. Przetoczył się z rozpędu jeszcze kilkadziesiąt metrów — i stanął. W jednej chwili rozpętało się piekło. Ktoś z jadących za nią spróbował wyminąć nieoczekiwaną przeszkodę i zajechał drogę kierowcy po prawej; zgrzytnęły gniecione blachy — brzęknęło tłuczone szkło i rozległy się soczyste przekleństwa... Wkrótce zablokowane były już trzy pasy, a gigantyczny korek narastał jak lawina. Przez parę sekund przerażenie nie pozwoliło jej na najmniejszy ruch. Ale już w następnym momencie popchnęło ją do tego, by porwawszy tylko torebkę i prochowiec — rzucić się do ucieczki. Biegła po ślimakach podjazdów, przeskakiwała przez bariery, wspinała się po skarpach — byle dalej, byle dalej...

Zwolniła dopiero wtedy, gdy oszalały ryk klaksonów przycichł na tyle, by umożliwić jej odzyskanie zdolności myślenia. Spostrzegła telefoniczną budkę. Zadzwoiła do Eleonory Nardi.

— To ty do mnie dzwoniłaś, prawda? — głos rozlegający się tuż obok niej tym razem należał do kobiety. — Obudź się. Jestem już.

Otworzyła oczy. Tak, pomyślała, to ona; wygląd pani Nardi całkowicie odpowiadał wyobrażeniom, jakie o niej powzięła. Jednocześnie bardziej jeszcze niż przed chwilą zaczęły jej ciążyć własne wymięte łachy, kurz na dłoniach i twarzy, rozpaczliwy stan makijażu. Przy doskonałym, szarym kostiumie tamtej, przy jej kapeluszu, perłach i kopertowej torebce, przy szminkach, pudrach i tuszach użytych z nieporównanym mistrzostwem (pozostając niewidoczne pozwalały, by rzucał się w oczy ich efekt) i w aromacie delikatnych, a przecież niemożliwych do przegapienia perfum — poczuła się upokorzona i bezbronna. Żałowała już, że tak spieszyła się do tego spotkania.

— Napijesz się kawy, prawda? — Eleonora Nardi gestem przywoływała kelnera. — Strasznie jestem ciekawa tej twojej historii z Bossynem — mówiąc o byłym mężu używała nazwiska, ale wymawiała je tak, jakby to było jego imię. — Co ty chcesz z nim robić? Pisać książkę?

Kolejny raz przyszło jej przekonywać kogoś o znaczeniu, jakie ma dla niej sztuka dotyku. Opowiadać o swoich planach i o porażkach, które podczas realizacji tych planów poniosła.

— A czego oczekiwałaś po spotkaniu ze mną? — spytała Eleonora Nardi, gdy tylko jej monolog dobiegł końca. — Że przekonam Bossyna? Że sama powiem ci to, czego on nie powiedział?

Nagle zdała sobie sprawę, że od dłuższego czasu nie rozważała już takich kwestii. Po prostu szła

po śladach Bossyna — od śladu do śladu — mając nadzieję, że któryś z nich okaże się tym właściwym. Że od momentu, w którym do niego dotrze, wszystko zacznie toczyć się samo, samo się układać i rozwijać. *Deus ex machina!* — oto, czego pragnęła. A teraz, nie wiedząc, co odpowiedzieć, milczała.

— Słuchaj: czy ty naprawdę myślisz o książce? — wyciągnęła ku niej srebrną papierośnicę pełną cieniuteńkich skrętów w smoliście czarnych bibułkach, a potem zapaliła sama. — Nie liczysz przypadkiem na to, że w jakiś sposób... uda ci się przy nim... zaczepić? Zaprzeczyła gorąco i z przesadnym oburzeniem, jak pensjonarka przyłapana przez nauczycielkę na jakimś szkolnym przestępstwie. I jak pensjonarka się zaczerwieniła. Ale na Eleonorze Nardi wszystko to nie zrobiło większego wrażenia. Chyba nawet wcale nie zostało przez nią zauważone.

— To wcale nie takie wspaniałe, jak ci się zdaje — mówiła do niej, ale zarazem jakby do siebie. — Bossyn to wariat. To zupełny świrus. Mogliśmy prowadzić naprawdę przyjemne życie. Życie powinno przecież być przyjemne! Ale on nie wykorzystał żadnej z szans, nawet nie spróbował... Po pierwszej wystawie tuneli, tej w Andorze, nagle stał się modny i głośny. Mógł wtedy zarzucić Główny Nurt swoimi pracami; trzęśli się tam z pożądania, wzięliby wszystko i wszystko by za to dali.

Po prostu wystarczyło, żeby powielił ten sam pomysł ze dwieście czy trzysta razy i nigdy już niczego by nam nie zabrakło. Mogliśmy mieszkać tutaj — w spokoju Pogranicza — i korzystać z najbardziej wyszukanych nowinek Głównego Nurtu; dla kogoś, kto ma czym płacić, granica stref i zakazy wwozu nie istnieją. Ale on musiał eksperymentować! Musiał dalej poszukiwać! Robił jedną dziesiątą tego, co mógł, a wszystko, co dostawał, pakował w narzędzia i surowce, których potrzebował ten drugi wariat, ten wynajęty do pomocy — Winter... Dążenie do sztuki wszystkich zmysłów... Zawracanie głowy! W gruncie rzeczy poddawał się kilku głupim obsesjom, które zżerały go od lat. Uważał, że ludzie nie są zdolni do prawdziwego porozumiewania się ze sobą. Nie ufał słowom. Tego, co ważne, nigdy nie da się w pełni wypowiedzieć i dlatego każdy istnieje oddzielnie: zamknięty w sobie, na siebie samego skazany. Liczył tylko na dotyk. Na to, że pomoże mu złapać kontakt z jakąś wielką myślą, z jakąś siłą, do której można zbliżyć się bardziej niż do drugiego człowieka. No? Rozumiesz teraz? Spróbuj sobie wyobrazić, jak się żyje z facetem, który założył, że nigdy się z tobą nie dogada, i całymi dniami goni za chimerami... Tak bardzo ci się to podoba?

Eleonora Nardi urwała i obrzuciła ją krótkim, lecz bardzo uważnym spojrzeniem. Mogło się wydawać, że sprawdza efekt swoich słów. Potem zduśiła niedopałek w popielniczce, jednym haustem dopiła kawę. Gestem przywołała kelnera i uregulowała rachunek.

— Żałuję, ale to wszystko, co mogłam ci powiedzieć — rzuciła. — Pewnie sprawiłam ci zawód... Wybacz... I uwierz, że wcale mi na tym nie zależało.

Wstała, zbierała się do odejścia. Nagle, jakby coś sobie przypomniawszy, raz jeszcze zwróciła się ku niej.

— Zdaje się, że nie zdążyłaś załatwić kartek, prawda? Ja i tak mam ich więcej, niż potrzebuję — położyła na brzegu stolika plik kolorowych arkusików. — Weź, przydadzą ci się.

Teraz już oddaliła się szybko, a ona patrzyła za nią aż do chwili, w której włączyła się w tłum płynący Polami Elizejskimi, by natychmiast w nim zniknąć. Trop ostatecznie się urywał. Paryż, który tak mocno przyciągał, który tak wiele obiecywał — zawiódł na całej linii. Jeszcze przez parę minut siedziała przy stoliku sącząc resztki kawy i nie myśląc o niczym szczególnym.

Czuła tylko, jak rozrasta się w niej pustka. Wreszcie wstała również i opuściła lokal. Szła przed

siebie, bez celu. Napotkawszy pierwsze zejście do metra, zbiegła w podziemie. Wsunęła żółty kartonik biletu w szczelinę automatycznej przegrody, znalazła się na peronie.

Wszystko robiła prawie bezwiednie; gdy z czarnej głębi tunelu dobiegł narastający łoskot zbliżającego się pociągu, wciąż nie знаła nazwy stacji, do której chciała się udać. W tym samym momencie usłyszała monotonną melodię, która uparcie przebijała się przez pisk hamulców, syk otwierających się drzwi wagoników, zgiełk ludzkich głosów. Podziałała na nią jak uderzenie batem, dreszczem przebiegła przez jej mózg i ciało. Roztrącając tych, co stali jej na drodze, rzuciła się w stronę, z której zdawały się nadpływać dźwięki.

Wpadła w wąski, ślimakowato wznoszący się chodnik. Potem pod prąd przedarła się przez zatłoczony korytarz. Pojechała kawałek ruchomym chodnikiem. Parę razy — w górę, w dół, znowu w górę i znowu w dół — przemierzyła jakieś schody. To był labirynt, ale monotonna melodia była rozciągniętą w nim nicią. Słyszała ją coraz wyraźniej. I w końcu osiągnęła cel: pod wyklejoną barwnymi reklamami ścianą siedział szczupły chłopak w dżinsach i podniszczonej skórzanej kurtce. Nosił bardzo długie włosy i ich kosmyki, opadając na czoło i policzki, czyniły jego twarz prawie niewidzialną. Grał na gitarze podłączonej do małego, przenośnego wzmacniacza. A śpiewał w jednym z tych języków, które od pewnego czasu słyszało się w Paryżu coraz częściej — pełnych szelestów, szmerliwości traw, nieoczekiwanych zaśpiewów i przypominających mowę dziecka zmiękczeń. Obok stóp grajka leżał otwarty futerał instrumentu, na jego dnie błyszczało kilka monet.

— *Cette chanson...* — wydyszala kucając przy nim. — *C'est quoi, cette chanson?*

Przerwał grę, ale nie odpowiedział. Bezradnym rozłożeniem ramion dał do zrozumienia, że nie mówi po francusku.

— *Your song* — panowała już nad głosem, starała się, by brzmiał jak najwyraźniej. — *What are you singing?*

Milczał nadal. Pomyślała już, że nie będzie jej dane nabrać pewności i jej podejrzenia pozostaną tylko podejrzeniami, gdy spostrzegła książkę wsuniętą w kieszeń jego kurtki. Na zewnątrz wystawał tylko brzeg okładki, ale właśnie na nim wybito nazwisko autora:

T. S. Eliot. Więc jednak się nie myliła! To była ta melodia. I te słowa, chociaż przełożone na egzotyczny, niezrozumiały język.

Cofnęła się pod przeciwległą ścianę. Usiadła krzyżując na turecki sposób nogi, oparła głowę o chłodny mur, przymknęła oczy. Przez chwilę słyszała tylko szuranie stóp spieszących do metra przechodniów; niektórzy potrącali ją, niemalże potykali się na niej. A potem gitarzysta na nowo uderzył w struny.

16.

Od chwili gdy opuściła taras Fouqueta pozostawiając tam tę zabawną, trochę egzaltowaną, źle ubraną dziewczynę, jej myśli nie przestawały krążyć wokół spraw odległych od niej o całe lata, o dziesiątki ludzkich twarzy, o przynajmniej dwa okresy życia, które pragnęła uważać za znacznie ciekawsze i ważniejsze niż ten, co je poprzedził... Przed jej oczyma na nowo rozgrywały się 1 zdarzenia, ku którym od dawna nie starała się wracać, a które teraz, wynurzając się z głębokich, skamieniałych pokładów pamięci, zaskakiwały ją bogactwem dochowanych szczegółów, ostrością barw, wciąż intensywnym smakiem bezpowrotnie minionych emocji i nastrojów. Jednego nie mogła przed samą sobą ukryć: chociaż czas spędzony z Bossynem przywykła uważać za stracony, chociaż patrząc dziś na siebie z tamtych dni czuła najczęściej rozdrażnienie i zażenowanie, to jednak tylko wtedy w pełni była otwarta ku otaczającemu ją światu. I chłonęła go jak gąbka.

Obrazem, do którego biegły wszystkie wspomnienia, który nieustannie gdzieś za nimi i poprzez nie majaczył, było otwarcie wystawy w Andorze. Owe chwile, w których nieco niepewni, spłoszeni przedstawiciele publiczności stanęli u wejścia do tuneli dotknięć, z perspektywy lat nabrały dla niej zupełnie specjalnych znaczeń. Całkiem wyraźnie dostrzegała teraz, że właśnie one były przełomem, punktem zwrotnym, wielkim finałem... Wtedy, stojąc w kącie wielkiego namiotu i patrząc na pulsujący, rozbrzmiewający gorączkowymi szeptami tłumek, zaledwie to przeczuwała. Zjawili się wszyscy, którzy zwykli zaszczycać swoją obecnością takie imprezy. Najliczniej koledzy po fachu, artyści; dla nich — wciąż zabiegających o to, by ich dostrzegano, walczących między sobą o łaski odbiorców i mecenasów — Bossyn był po prostu nowym konkurentem, musiał zaciekawiać i niepokoić. A przy tym każdy z nich i tę okazję chciał wykorzystać dla zamanifestowania swej niepowtarzalnej indywidualności. Z dość mizernym zresztą skutkiem: ich długie, sięgające przynajmniej łopatek i tęczowo barwione włosy, mosiężne kółka w nosach (ostatni krzyk mody!), znaki zodiaku wymalowane na czołach, atlasowe koszule z żabotami i obcisłe spodnie ze sztucznej wężowej skóry w każdym wypadku były niemal identyczne i sprawiały, że przypominali oddział w regulaminowych uniformach jakiejś bardzo dziwnej armii. Paru gości z Pogranicza, zawodowych specjalistów od uznawanej tam sztuki, swemu przybyciu tutaj starało się przydać znamiona niewinnej ekstrawagancji, gestu bliskiego żartu; ironiczne uśmieшки na ich twarzach miały nie pozostawiać najmniejszych wątpliwości. Dyrektorzy galerii i muzeów zachowywali się spokojnie, a ich powściągliwość nie była udana; od dawna nie oczekiwali po kolejnych wystawach niczego specjalnego i zjawiali się na nich jedynie ze służbowego obowiązku. Bardzo ożywieni byli za to dziennikarze, którzy do ostatniej chwili wzajemnie wypytywali się o to, czy są na wernisażu czy też na pokazie nowego automatu do masażu. Nie zabrakło kilku dezertarów (a może tylko wagarowiczów?) z okolicznych enklaw, wycieczki snobujących się na artystyczne koneksje inżynierów z „Mainstream Products” i stadka panienek przybyłych w bliżej nie określonych celach.

Odwróciła głowę ku stojącemu za nią Michaelowi Plantowi. Wysuniętą brodą wskazała

zgrupowanych. Niezłe stadko przebierańców, szepnęła. Określenie wyraźnie mu się spodobało. Stadko przebierańców, powtórzył za nią. A po chwili zrobił to jeszcze raz. Zdążyła już z powrotem zwrócić twarz ku środkowi namiotu i nie musiała kryć uśmiechu, który przemknął przez jej wargi. Lubiła Miskę, ale nie była ślepa na jego słabości; nieostatnie miejsce zajmowało wśród nich przywłaszczanie sobie cudzych „bon motów”.

Wspomniała kiedyś w jego towarzystwie, że obawia się, iż przeznaczeniem Bossyna jest „miejsce poza czasem”. Chodziło jej o to, że jego twórcze poczynania nie zmieszczą się w wąskich ramach narzuconych przez Pogranicze, nie zostaną serio potraktowane w Głównym Nurcie i zupełnie nie dadzą się pogodzić z tym, czym mogłaby żyć jakakolwiek enklawa, więc prędzej czy później przyjdzie mu szukać jakiegoś kąta, w którym sam sobie będzie mistrzem, wielbicielem, krytykiem... Miejsce poza czasem, powtórzył wtedy Plant. Miejsce poza czasem, przepowiedział sobie po chwili raz jeszcze. A w jakiś czas później podłożył pod to powiedzenie nowe znaczenie (to mu trzeba przyznać — dorobił całą filozofię!) i puścił je w obieg jako własne. Taki właśnie był Miska; nie miała najmniejszych wątpliwości co do tego, że jej „stadko przebierańców” też mu się do czegoś przyda.

Bossyn stanął przed zgromadzonymi; twarzą zwrócony ku nim, plecami opierał się o klapę zamykającą wejście do jednej z dwu srebrzystych rur, które średnicą przewyższały nieco wzrost człowieka, a wybiegały gdzieś w dal, poza namiot. Jego skromny strój, brak makijażu na jego twarzy i krótko obcięte włosy sprawiały, że na tle gości wyglądał jak szary żuk naprzeciwko chmary motyli. Jak żuk, którego motyle osaczyły i przyparły do muru; to one zdawały się atakować, a on tylko się bronił. Robił to bardzo spokojnie. Mówiąc sprawiał wrażenie zupełnie chłodnego i jedynie ktoś, kto bardzo dobrze go znał, mógł odkryć przyczajone pod tą powłoką napięcie.

Sięgał do spraw zupełnie podstawowych. Mówił, że zmysł dotyku to najstarszy ze zmysłów człowieka. Nie byliśmy jeszcze nawet ludźmi, dowodził, nie mieliśmy bystrych oczu, otwartych uszu, łakomego języka i rozdymających się nozdrzy, a już mieliśmy skórę. I to skóra otwierała nam świat. Ślepe, głuche, nie rozróżniające smaków i woni istoty, małe, różowe, wijące się drobiny życia, robaki właściwie, odbierały pełne bogactwo wrażeń. Potem ewolucja dała nam nowe organy. Dotyk stępiał. Ale czy równocześnie nie zamknął się dla nas dostęp do jakichś ważnych źródeł?

Dlaczego dzieje się tak, że raz te, a raz inne nasze zmysły zdobywają uprzywilejowaną pozycję? Dlaczego nie potrafimy wszystkimi naraz posługiwać się w pełni?

Czy tylko ślepcy mogą mieć naprawdę wrażliwe palce?

Mówił jeszcze o swoich tunelach. O tym, że panuje w nich czarna ciemność i że nie przeniknie do ich wnętrza żaden dźwięk. O tym, że ten, co do nich wejdzie, nie poczuje nic poza wonią własnego ciała i smakiem własnej śliny. Przez dwieście metrów, stąd aż do następnego namiotu, w którym znajdują się wyloty, odbierać będzie otoczenie prawie wyłącznie dotykiem.

Odbierać będzie bodźce do dotyku adresowane, specjalnie dobrane i zestawione ze sobą, skomponowane w utwór. Po prostu doświadczy tego, co stanowi istotę sztuki nazywanej tuszyzmem. Przypomniawszy, że warunkiem przejścia przez tunel jest nagość, że tylko odsłonięcie całej skóry, poddanie działaniu każdego jej skrawka umożliwia zgłębienie dzieła, Bossyn zrobił krok do przodu, odwrócił się i uchylił klapę na pierwszej rurze. Potem na drugiej. Na koniec wezwał dwóch pierwszych chętnych...

Słuchając tego, co mówił Bossyn, doznawała mieszanych uczuć. Rozpraszała ją nieco świadomość, że w ostatecznym kształcie wszystkie te zdania wyszły spod pióra Planta; odruchowo

wyłapywała charakterystyczne dla Miszki słowa i stylistyczne figury. Jednocześnie trudno by jej było nie dostrzegać, że cała przemowa jest dla Bossyna męką, że brnie przez nią jak przez zdradliwe trzęsawisko albo jak w górę stromego, śliskiego stoku.

Wiedziała, że nie wynika to wyłącznie z niechęci do publicznych wystąpień czy też z konieczności podporządkowania języka okrągłym, gładkim zwrotom ghostwritera. Już sporządzając dla Planta tezy i wskazówki ich opracowania, Bossyn powściągnął wyobraźnię, okroił swoje myśli i sprawił, że stały się strawniejsze. Teraz te przemilczane, odepchnięte marzenia i obsesje wrzały gdzieś w jego głębi, próbowały wykipieć, wdrzeć się w przygotowany wcześniej, spisany na kartce tekst. Nieustannie musiał z nimi walczyć, poskramiać je i trzymać na wodzy. Wiedziała o tym wszystkim i męczyła się razem z nim. A sytuacja miała w jej oczach jeszcze i trzecią stronę. W tym, co mówił Bossyn, nawet przy wszystkich niedopowiedzeniach i uproszczeniach, czaiła się najprawdziwsza pasja, bolesne pragnienie dokopania się odpowiedzi na jakieś niejasne, dręczące pytania. Ci, którzy zgromadzili się w namiocie, owa chmara motyli, myśleli tylko o jednym — o zabawie. Zabawie i zabawie. Szaremu żukowi dana była jedna jedyna szansa: musiał zaskoczyć, wstrząsnąć, zadziwić, podniecić, zaszokować. Musiał pokazać sztuczkę, po której zahuczą brawa i rozlegną się okrzyki żądające bisu. Między intencjami twórcy i oczekiwaniami odbiorców jego dzieła ziała przepaść. Od pierwszej chwili podejrzewała, że ma przed sobą dwa światy, których spotkanie może być tylko pozorne, których powierzchowna bliskość nie przezwycięży głębokiej obcości. Od momentu, w którym tunele przestały już kryć tajemnicę, jej podejrzania przekształciły się w pewność.

Na wezwanie Bossyna odpowiedzieli dwaj mężczyźni; Plant, lepiej niż ona orientujący się wśród zgromadzonych w namiocie twarzy, wyjaśnił, że jeden jest szefem muzeum, a drugi dziennikarzem. Obnażyli się odważnie i zniknęli we wnętrzu rur. Bossyn osobiście zamknął za nimi kłapy, a potem, wzięwszy pod pachę ich ubrania, udał się do drugiego namiotu, by oczekiwać ich u wyjścia. Chwilowo atmosfera wyraźnie się rozluźniła; zaczęli krążyć kelnerzy z tacami pełnymi kieliszków wina, tłumek rozpadł się na całe mnóstwo małych grupek, przestrzeń pod płócienną kopułą wypełniła się gwarem wielu równocześnie prowadzonych rozmów...

Powrót konwojowanych przez Bossyna śmiałków podziałał jak huk i błysk eksplozji — wszystkie głosy umilkły w pół słowa, wszystkie oczy zwróciły się w jedną stronę. A oni obydwaj — szef muzeum z przejęcia jak piwonia czerwony, dziennikarz z emocji jak kreda bładny — stali wodząc wzrokiem i wyławiając spośród zgromadzonych swoich ludzi. Dostrzegłszy właściwe grupki, szybko podążyli ku nim. Z jednakowym, w gestach, mimice i natężeniu głosu objawiającym się entuzjazmem zaczęli dzielić się swoimi wrażeniami. I oto w chwilę później przed wejściem do tuneli kłębiły się błyskawicznie rosnące zastępy nowych ochotników: już nagich albo w pośpiechu zdejmujących i byle gdzie ciskających rzeczy, odpychających konkurentów, wrzeszczących i wymachujących rękami, by zwrócić na siebie uwagę Bossyna.

Rozpętało się piekło. Ale właśnie ono najlepiej dowodziło zwycięstwa, oznaczało sukces rodzący się dosłownie na oczach obecnych. I chyba tylko ona zdawała sobie wtedy sprawę z tego, że wszyscy obecni zostali nabrani. Że Bossyn pragnie czegoś więcej. Że ten sukces lekceważy. Że nie wykorzysta go tak, jak zrobiłby to każdy inny człowiek na jego miejscu. Że dla niego gra dopiero się zaczyna. W tym samym momencie zaczęła też jednak jej świtać myśl, że tej gry Bossyn nie wygra. Że to żadna przyjemność w kręgu jego dzikich mrzonek oczekiwać dnia nieuchronnej klęski. Że chyba już niedługo ich drogi będą musiały się rozejść.

Budował jeszcze jeden tunel. A właściwie ostatnią jego część, bo sto kilkadziesiąt metrów rury zdążył już wypełnić wcześniej. Pomysł, na którym tym razem wszystko opierał, nie należał do najoryginalniejszych: przejście przez ten tunel miało być pasmem rozczarowań, miało polegać na wpadaniu w pułapki i inkasowaniu złośliwych pstryczków w nos, miało budzić — w zależności od temperamentu przechodnia — rozzalenie albo wściekłość. Żadna obietnica nie kończyła się spełnieniem: po kilku krokach wśród ciepłego, łaskotliwego puchu — wchodziło się pod lodowaty prysznic. Pieszczotliwe, nieodparcie z ludzką dłonią kojarzące się głaśnięcia — na najbardziej bezbronnych obszarach ciała zmieniały się nagle w paraliżujący kontakt z zimną, oślizłą skórą węża. Dywan pod stopami, z każdym metrem grubszy i bardziej miękki — urywał się ustępując miejsca czemuś, co wydawało się lepkiem grzęzawiskiem. Poczucie zagrożenia, wydania na pastwę bezimiennej agresji, potęgowało pięć miejsc, gdzie nie sposób było się nie potknąć, trzy — w których nieuchronne było poślizgnięcie się, i dwa — w których gwałtowne obniżenie pułapu kończyć się musiało uderzeniem weń głową. A dochodziły jeszcze do tego nieustannie wymierzane klapsy i policzki, przelotne inwazje czegoś, co dostarczało doznań zbliżonych do tych, jakie towarzyszą oblezieniu przez pająki, mrówki lub pchły, spadające z góry i z pacnięciem przywierające do naskórka niewielkie porcje substancji, która mogła być świeżo rozrobionym gipsem, lecz również najzwyczajszym ptasim łajnem. Długo zastanawiał się nad siłą każdego wrażenia i wstrząsu, bardzo starannie rozważał dopuszczalną sumę dotykowych udręczeń. Nie chciał nikogo przed czasem załamać, znokautować, nieodwracalnie powalić. Idący tunelem miał dotrzeć do samego końca! Chodziło jedynie o to, by na krótko przed osiągnięciem mety przepełniało go gniewne lub płaczliwe rozdrażnienie, lekka dezorientacja, znużenie. Sadystyczna gra nie miała innych celów. Instalował teraz w rurze to, co pragnął uczynić treścią finiszu, treścią owych przedostatnich trzech czy czterech metrów, po których nadejść miał moment kulminacji. Zamykając cały prześwit tunelu rozpinał w nim i napręzał plastikowe błony i sieci. Sprawdził już wcześniej, że są dostatecznie mocne, by przez parę chwil opierać się przeciętnym ludzkim siłom, ustępując dopiero po targaniu i szamotaninie. Zakładał ich bardzo wiele i w niedużych odstępach, a każdą powlekał grubą warstwą nie wysychającego kleju; między pokonaniem pierwszej błony i wyplątaniem się z ostatniej sieci idący tunelem zakosztować miał namiastki doświadczeń uwięzionej w pajęczynie muchy. Próg, który tworzyła spętująca, lepiąca się zaporą, należał do takich, co nie dają się przekraczać spokojnie i po prostu. To dlatego pomyślany został tak, by trzeba się było przez niego przebijać, jak przez gąszcz dżungli przedzierać, w całym tych słów znaczeniu — Brać go szturmem. Ale też ów ostatni wysiłek nie miał pozostać bez nagrody. Po wyrwaniu się z matni, po tylu wcześniejszych zawodach i upokorzeniach — nadchodziła wreszcie pora wlotu i spełnień. Na skrawku przestrzeni, na metrze czy trochę więcej niż metrze dzielącym sztuczną pajęczynę od wyjścia z tunelu, czekał deszcz czystych radości, zgromadziły się doznania wyzwalające i niosące ukojenie, dojrzewało prawdziwe katharsis.

Rozpiął, naprężył i wysmarował klejem ostatnią sieć. Wykonując tę pracę posuwał się tyłem ku wylotowi tunelu. Teraz mógł się odwrócić. Stał na samym środku ciasnej komory, którą przeznaczył na miejsce finałowego zadośćuczynienia. I nagle opanowało go przerażenie; zdał sobie sprawę, że nie pamięta już, co zamierzał tutaj umieścić. Rozpoczynając budowę znał zestaw gwarantujących właściwe doznania bodźców, na pewno wiedział, czego musi doznać skóra, by udziałem jej właściciela mogła stać się łagodna ekstaza. Ale nie zostało z tego nic — czuł w głowie strasliwą, zupełną pustkę, mimo rozpaczliwych wysiłków nie odnajdywał żadnych punktów zaczepienia, najmniejszych nawet śladów skojarzeń, a akurat tym razem poniechał też sporządzenia jakichkolwiek notatek. Stał o krok od końca rury i myślał o tym, że cała koncepcja dzieła obraca się w ruinę, narastała w nim bolesna pewność, że nijak już nie zdoła jej ocalić...

Nieoczekiwanie zgasty przenośne lampy, którymi świecił sobie podczas pracy; czarna pustka, jaką czuł w sobie, wystąpiła z dotychczasowych brzegów i rozlała się na otaczający go świat. Wyciągnął rękę i macał w poszukiwaniu uchwytu zamykającej wyjście kłapy, ale w żaden sposób mógł na niego natrafić. Gołe ściany rury też oddaliły się poza zasięg jego dłoni, nie widział ich, lecz odnosił wrażenie, że uciekają, gdy próbuje się o nie oprzeć. Zresztą samo poruszanie się zaczęło sprawiać mu trudności; palce zrobiły się ciężkie i niezgrabne, ciemność nabrała cech gęstej mazi, w której grzęzły ramiona i stopy, ściśnięte niewidzialną obręczą piersi z coraz większym wysiłkiem nabierały powietrza. Z każdą chwilą wszystko wokół bliższe stawało się atmosferze złego, męczącego snu. Uwierzył wreszcie, że zdarzyło mu się przysnąć i nateżył wewnętrzne siły, by się przebudzić. Ale nieprzenikliwa czerń nie chciała się rozproszyć. Na próżno, marszcząc całą twarz, zaciskał powieki, a potem aż do bólu wytrzeszczał oczy: na siatkówkę trafiał wciąż ten sam obraz. Albo raczej wciąż nie trafiało tam nic.

O przerażeniu, jakie wywołało w nim urwanie się wątku jego pracy i raptowne, niewytłumaczalne zniknięcie pomysłu na jej ukoronowanie, zdążył już właściwie zapomnieć. Pozostało po nim tylko przykre, niejasne poczucie braku czegoś, jakiejś zguby czy straty. Obawa, która rosła w nim teraz, nie była już lękiem artysty dostrzegającego nagle pierwsze symptomy własnej twórczej impotencji. To był ślepy, dziki strach, panika zwierzęcia uwięzionego w przerażającej pułapce. Jeszcze trzymał swoje nerwy na wodzy, jeszcze panował nad sobą, ale czuł, że wybuch zbliża się i dojrzewa, że może nastąpić w każdej sekundzie... Spróbował się bronić.

Tak, jak to nieraz już czynił, na pomoc w walce z koszmarami nocy przywoływał wyobrażenia kobiet. Tej, z którą przeżył lata. I tej, z którą spędził jedno jedyne popołudnie. Ale również to miało zawieść; nie mógł dzisiaj odtworzyć rysów ich twarzy, umykały mu ich zwykle grymasy i gesty, nie potrafił dobrać stów, jakie sam chciałby wypowiedzieć, i tych, które w marzeniu powinien usłyszeć od nich. Ciemność i teraz nie oddała ani piędzi ze zdobytych obszarów; ani na zewnątrz niego, ani w nim. Krzyknął, ale nie usłyszał własnego głosu; dźwięk natychmiast wsiąkł w to, co go otaczało i oblepiało, ugrzązł w tym, zamarł. Uniósł nogę, by postąpić krok naprzód, ale zamiar nie powiódł się; jakaś siła na powrót przyszpiliła do dna rury podeszwę jego buta. Szarpnął się całym ciałem i wtedy pojął, że wcześniejszymi, nieostrożnymi ruchami musiał zaplątać się w sieci, które sam przed chwilą porozpinał.

Pamiętając o własnej ocenie ich mocy zaczął się gwałtownie rzucać w przód i w tył, ale jego uwikłanie tylko od tego wzrosło. Miotając się dokonał raz czy drugi obrotu wokół własnej osi i nie wiedział już, czy wylot tunelu wciąż jeszcze jest przed nim, czy też znalazł się za jego plecami. I oto cały świat oddalił się od niego, a wraz ze swą niedosiężnością stał się obcy, wyprany ze znaczeń,

prawie nierealny. Konkretnie i ważne było już jedynie to, czego dotykał bezpośrednio, owa pogrążona w zupełnym mroku, niewidzialna, a tak skutecznie zatrzymująca go zaporą. Nie próbował już rozstrzygnąć, co się z nim dzieje; czy naprawdę wpadł w pułapkę, w jaką zamieniło się dla niego własne dzieło, czy tylko płacze się wśród tworów rozgorączkowanej, półprzytomnej wyobraźni. Podział na jawę i sen przestał się dla niego liczyć. W jakiś dziwny, od własnych intelektualnych wysiłków niezależny sposób, coraz bardziej stawał się świadom tego, że sytuacja sięgnęła wymiaru leżącego ponad zwykłą jawą i zwykłym snem, że to, co nastąpi po niej, będzie czymś całkiem nowym i nieporównywalnym z jakimkolwiek wcześniejszym doświadczeniem. Przedzierał się przez próg, za którym wszystko będzie czymś innym niż było i nawet zapomni dawnych kształtów. Jego samotność pięła się teraz ku lodowatym szczytom, ale przestała go przerażać; wiedział już, że tam samotności ma nie być. Jeszcze chwila! Przez rzednącą mgłę myśli jego wygasającego ja przemknął Hubsch i często przezeń powtarzane, u Paracelsusa wygrzebane zdanie: „Niebo to jest człowiek, a człowiek to jest niebo, a wszyscy ludzie — jedno niebo i niebo — tylko jeden człowiek”. Oto ku czemu się wyrywał! Odarty ze skóry, wyzwolony z biologii — wtapiał się w to, co nieskończone i wieczne.

Po doświadczeniach na Boulevard Peripherique na długo dosyć miała samochodu; z Paryża do Berlina poleciała więc samolotem, a z Berlina do Gdyni przyjechała pociągiem. Stąd do enklawy, jaką był Gdańsk, kursowały elektryczne, żółto-niebieskie kolejki. Bez kłopotów minęła punkt kontrolny u wejścia na peron. Wpuszczano jedynie tych, których ubiór i bagaż odpowiadały czasom panującym w enklawie; pierwszy przystanek wypadł już po drugiej stronie jej granicy, na przedmieściu o nazwie Sopot. W czasie jazdy wagony ciężko kołysały się z boku na bok, metalicznie łomotały łączące je pomosty, smutno skrzypiały amortyzatory. Za pomazanymi szybami, w bladym świetle deszczowego, jesiennego zmierzchu, migały od czasu do czasu skrawki ołowianego morza. Nie poświęcała zbyt wiele uwagi temu, co ją otaczało; jej myśli wybiegały ku celowi podróży. O tym, że Bendit Stein zawędrował do Gdańska, dowiedziała się w Paryżu zupełnie przypadkowo — gdy odwiedziła ich dawną, wspólną uczelnię. To było już po spotkaniu z panią Nardi, po rozwianiu się jej ostatnich nadziei. Bardzo potrzebowała kogoś, kto podtrzymałby ją na duchu, a rozmowy prowadzone przed laty z Benditem zaczęły nagle odżywać w jej pamięci jako ciekawsze, głębsze i w ogóle wspanialsze od wszystkich innych.

Szybko nawiązała z nim kontakt, a on, jakby odgadując jej pragnienia, odpowiedział zaproszeniem. Teraz, poinformowany zawczasu o porze przyjazdu, pewnie już na nią czekał. Szybkość kolejki spadła prawie do zera; przechyły wagonów pogłębiły się, ale zarazem nabrały jakiejś leniwej majestatyczności, łomot pomostów przerodził się w głuche sieknięcia, amortyzatory skrzypiały coraz smutniej. Przeczolągali się pod wiaduktem. Na betonowej ścianie filara widniało wypisane czerwoną farbą jedno długie słowo. Nie zrozumiała go, ale zdążyła zapamiętać pierwsze z wielkich, nieforemnych, jakby wzajemnie o siebie wspierających się liter i obiecała sobie, że przy okazji poprosi Bendita o wyjaśnienie.

Na peronie nie było zbyt wielu oczekujących; od razu wyłowила spośród innych znajomą sylwetkę. Przywitali się spokojnie, bez okrzyków i gwałtownych uścisków. Nie zasypali się wzajemnie lawiną słów. Ale od pierwszej chwili, pierwszej wymiany spojrzeń i uśmiechów, poczuła, że ich niegdysiejsza bliskość wcale nie obumarła, że zapadła tylko gdzieś w głąb ich obojga i będzie mogła powrócić. Czas na długie rozmowy miał dopiero nadejść; nie trzeba go było popędzać. Chwycił jej bagaże i poprowadził ją ku wyjściu z dworca.

W tunelu łączącym peron z główną dworcową halą dobiegły jej uszu dźwięki, pod których wpływem natychmiast przyspieszyła kroku. Wbiegła po schodach i szybkim spojrzeniem ogarnęła rozległą, łukowato wygiętą, hangarowym dachem nakrytą przestrzeń. Znalazła go! Siedział po turecku, oparty o wąski pas ściany dzielącej przechowalnię bagażu i kiosk z gazetami. Wyglądał zupełnie tak samo jak tamci dwaj: kosmyki bardzo długich włosów przesłaniały mu twarz, podniszczona skórzana kurtka okrywała jego ramiona, a wytarte dzinsy szczupłe, chłopiące nogi. Na kolanach trzymał gitarę. Uderzał w struny i w nie znanym jej języku śpiewał pieśń, którą ciągnęli

biczownicy, tę samą, co była też nicią Ariadny w labiryncie paryskiego metra.

Po każdej zwrotce następował refren — wiele razy monotennie powtarzana jedna jedyna fraza. Podbiegła, stanęła o krok od gitarzysty, wbiła weń zafascynowane oczy. Trwała tak bez ruchu aż posłyszała za sobą oddech Bendita. Wtedy gwałtownie odwróciła się ku niemu.

— Wiem, co on śpiewa! — była rozgorączkowana i nie mogąc zapanować nad głosem prawie krzyczała. — To wiersz Eliota o kończeniu się świata! Wiesz, jak brzmi po angielsku to zdanie, które ciągle powtarza? *This is the way the world ends!* Czy on to śpiewa po polsku?

Bendit nie zdążył jej odpowiedzieć; gitarzysta okazał się szybszy.

— *Yeah, Babe, I'm singing in Polish* — jego angielszczyzna brzmiała zupełnie przyzwoicie. — *But you're quite wrong in thinking that it's a translation of Eliot's poem...*

Urwał i na pozór zupełnie tracąc dla nich zainteresowanie, na nowo pochylił się nad gitarą. Wydobył z niej kilka wciąż z tą samą melodią związanych akordów. Dopiero po chwili, widząc, że intruzi nie odchodzą, wyjaśnił, iż to, co śpiewa, jest wierszem poety polskiego, Miłosza. A słowa powtarzane jako refren w tłumaczeniu na angielski brzmiałyby: *Another end of the world will never come.* Albo: *There won't be another end of the world.*

— Tak. Ta druga wersja chyba jest lepsza — stwierdził po krótkim wahaniu. — Innego końca świata nie będzie. A melodię skomponowałem sam. Zupełnie sam!

W ostatnich wypowiedzianych przezeń słowach zadźwięczał ton twardy i zaczepny, coś na kształt wyzwania. Wyzywające było też spojrzenie, które rzucił im przez zasłonę włosów. Potem, naprawdę nie zwracając na nich więcej najmniejszej uwagi, powrócił do swojego śpiewania.

— Chodźmy już — mruknął Bendit.

Posłusznie poszła za nim. Po raz kolejny usłyszana melodia, sens niesionych przez nią wierszy, wciąż taka sama, a przecież nie ta sama postać grajka — wszystko to wprowadzało w otaczający ją świat atmosferę dziwnego, niepokojącego snu, w niej samej nabrzmiewało mrocznymi podejrzeniami, którym wystarczyło pozwolić, a w każdej chwili zerwałyby wszelkie tamy i popłynęły potokiem słów, wielką lawiną pytań. Ale Bendit, chociaż nie mógł nie spostrzec, co się z nią dzieje i jaka była tego przyczyna, chociaż sam spotkaniem z grajkiem zdawał się w jakiś sposób poruszony (objawił to zupełnie drobnymi, ulotnymi znakami, ale ona zdołała je odczytać) — milczał. Widać i na tę rozmowę pora jeszcze nie nadeszła.

Na parkingu oczekiwał pojazd pod wieloma względami bardzo przypominający samochód. W gęstniejącym mroku zdołała dostrzec biegnący w poprzek maski rząd stylizowanych liter.

— Sy...re...na... — przesyłabizowała. — *Siren? A nymph from fairy-tales?*

— Bez żartów! — odparł. — Tym się naprawdę da jeździć!

Ruszyli naprzód wśród potwornego huk, zostawiając za sobą wielki obłok spalin. Po chwili mignęły za szybą mury starych kamieniczek i wysokie wieże kościołów. Ale zaraz zaczęli się od nich oddalać; zdążali ku jakiemuś innemu miejscu. Wciąż panowało między nimi milczenie. I chociaż było to milczenie przyjazne, postanowiła je przerwać.

— Ben — pytanie, które chciała mu zadać, przyszło jej do głowy jeszcze w Paryżu, kiedy tylko dowiedziała się, gdzie go może znaleźć. — Ben, jak to się właściwie stało, że trafiłeś do Gdańska?

— Było parę przyczyn. Sam nie wiem, którą z nich uznać za najważniejszą — powiedział. — Ci, co stworzyli tutaj enklawę, wybrali sobie dosyć ciekawy fragment dziejów. W pełni udało im się odbudować atmosferę, która bardzo mi służy. A poza tym znalazłem tu ślady moich przodków... Całkiem możliwe, iż niewiele brakowało, bym i ja się tutaj urodził. Gdyby nie sierpień 1938 roku,

nigdy by pewnie stąd nie wyemigrowali...

Czekała, by wyjaśnił jej, co szczególnego wydarzyło się w sierpniu 1938 roku, ale on najwyraźniej uznał swoją odpowiedź za zakończoną. Przynajmniej na razie. Opuścili główną arterię i wjechali na tereny bezładnie zastawione dziwnymi, przerażającymi budowlami. Stosunkowo wysokie, ale zarazem zwaliste i ciężkie przywodziły na myśl cierpiące na elephantiasis bunkry, szare, betonowe grzyby, które pewnego dnia wyrwały się z objęć ziemi i w mozolnym trudzie dźwignęły się ku niebu. Na tle ciemnych, wieczornych chmur ich jeszcze ciemniejsze sylwety rysowały się nieprzebytym, posępnym murem.

— Tutaj mieszkam — powiedział Bendit. Jazgotliwa, wstrząsana drgawkami winda poniosła ich w górę — ku jedenastemu piętru. Po krótkiej szamotaninie z uzbrojonymi w trzy zamki drzwiami Bendit wprowadził ją do swego mieszkania. Było maleńkie — krótki, metrowej najwyżej długości korytarz, kuchnia i łazienka, z których żadna nie przekraczała rozmiarów nieco powiększonej telefonicznej kabiny, dwa pokoiki... Każdy skrawek tej tak bardzo ograniczonej przestrzeni zajmowały książki i to przypominało jej nowojorską jaskinię Planta. Ale w odróżnieniu od niej panował tutaj wzorowy porządek.

Na jednej ze ścian spostrzegła dużą fotografię Bendita w nasuniętym na czoło sensotransmitterze. Zdziwiło to ją: zaszyć się w enklawie i równocześnie robić sobie tak bardzo z Głównym Nurtem związany portret? Dopiero drugie, uważniejsze spojrzenie przekonało ją, że się pomyliła; to nie był sensotransmitter, lecz prawdziwe skórzane puzderko przytroczone rzemieniami, prawdziwy tefilin.

— Kiedy to zrobiłeś? — spytała wskazując fotografię.

— Dwa albo trzy lata temu — odparł. — Krótco po przybyciu tutaj wydawało mi się, że należy powrócić do wiary przodków. Że nadszedł na to czas.

— I co?

— Chyba nie potrafię być wyznawcą jednej, konkretnej religii...

Poczęstował ją chlebem, żółtym serem, herbatą. Gdy skończyli jeść, sprzątnął ze stołu i zapalił fajkę. A jej podsunął paczkę papierosów. Zaciągnęła się raz czy drugi gryzącym dymem. Poczula, że nie potrafi dłużej powstrzymywać pragnienia, by wreszcie wyrzucić z siebie wszystko to, co w ciągu minionych tygodni rozrosło się w przytłaczający, nieznosny ciężar.

— Jestem przegrana, Ben, nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, jaka jestem przegrana... Chciałam napisać książkę. O Paulu Bossynie. O jego sztuce dotyku... Pamiętasz to jeszcze? Luran miał z nami parę wykładów na ten temat. Właściwie trudno mi powiedzieć, dlaczego to akurat tuszym tak bardzo mnie pociągał. Przeszłam chyba wszystkie tunele. Mają coś w sobie. Chciałam to coś rozgryźć. Ale słuchaj! — naprawdę nie zależało mi na jakimś wielkim sukcesie, na sławie, na tym wszystkim, o czym zwykle się myśli pisząc książki... Chciałam po prostu zająć się czymś na serio, zrobić coś wartościowego, cennego w moich własnych oczach... Wyobrażałam to sobie jako reportaż z długiej, rozłożonej na raty rozmowy z Bossynem. Nie wywiad — rozumiesz? — nie wywiad, ale reportaż z rozmowy; obok jego wypowiedzi miały się w tym również znaleźć moje spostrzeżenia, odczucia, refleksje, miał być zawarty jego portret, oddana atmosfera spotkań. Nic z tego nie wyszło; Bossyn w ogóle nie myślał ze mną gadać. Od razu uznał, że moje przedsięwzięcie minie się z celem. Niezbyt go wtedy rozumiałam... Dopiero później, po tych wszystkich dalszych rozmowach, najróżniejsze rzeczy zaczęły mi przychodzić do głowy. Bo próbowałam jeszcze rozmawiać z ludźmi, którzy go znali. I za każdym razem spotykało mnie to samo — zbywali mnie, mówili o czymś innym... To nie wynikało z niechęci do mnie... Ani z niechęci do Bossyna czy jego

działa... Nie! Oni wszyscy pragnęli mi chyba coś przekazać, ale sami się w tym gubili. To było coś, co wykraczało poza dotykowce, poza tuszym, poza całą sztukę. I czego nie potrafili ubrać w słowa. Zaledwie coś przeczuwali, domyślali się czegoś niejasno... Wraz z Bossynem, towarzysząc mu, zrobili krok dostatecznie wielki, by wyjść poza zwykłe ramy codzienności. By już nie móc w pełni się odnaleźć w którymkolwiek z naszych trzech światów... Ale i dla Bossyna, i dla nich ten krok okazał się zbyt mały, by pewnie oprzeć stopę w jakimś nowym miejscu. Utknęli w pół drogi... Zresztą nie wiem... Może to tylko złudzenia? Może sama to sobie wymyśliłam? Ale wiesz co? — coraz częściej mi się teraz wydaje, że przemierzyłam świat idąc wciąż obok czegoś... Obok — rozumiesz? Jakby wzdłuż wysokiego muru z nieprzejrzyściego, ciemnego szkła, takiego muru, za którym... Nie wiem...

Nie przerywał jej; z jego ust nie padło ani jedno słowo. Ale widziała, że słucha z uwagą; na razie to było najważniejsze. Przecież jeszcze tak wiele musiała mu powiedzieć!

Przez szparę nie domkniętych drzwi (wypaczyły się i zamek nie zaskakiwał) zajrzał do pokoju odstąpionego Belli; zmęczona podróżą i wygłoszeniem długiego monologu zdążyła już zasnąć. Cofnął się na palcach, zgasił światło w korytarzyku, wrócił do siebie... Oczyszczył i odłożył na stojak fajkę. Wziął drugą i starannie — od dołu luźno, a w wyższych partiach ściślej — nabił ją tytoniem. Zapalił. Jeszcze dzisiaj, przed snem, chciał sobie przemyśleć to, co usłyszał. Bossyn... Sztuka dotyku... Penta-art... O tym ostatnim okresie twórczości wybitnego tuszera Bella nie wiedziała zbyt wiele — gdzieś coś przeczytała o pracach zniszczonych przez samego artystę, ktoś jej o nich to i owo opowiedział.

A przecież właśnie one były najważniejsze! Synteza wszystkich sztuk! Doznania estetyczne odbierane za pośrednictwem wszystkich zmysłów naraz! Czy ten facet doszedł do tego intuicyjnie? Czy też wszystko to na zimno sobie skalkulował? Konsekwentny krok dalej... Logiczne następstwo... W Głównym Nurcie przeprowadzili badania: najpierw sfotografowali wszystkie dostępne obrazy — miliony dzieł! — z muzeów, galerii, zbiorów prywatnych, potem przełożyli je na język komputera, a wreszcie poddali analizie.

Dowiedli, że w malarstwie nie można już w gruncie rzeczy nic nowego powiedzieć. Kombinacje barw i form uległy wyczerpaniu. W bezliku możliwych wariantów wyobrażono każdy kształt, tak lub inaczej zestawiono ze sobą każdą plamę i każdą kreskę. Osiągnięty został punkt, w którym pojawiać się muszą dzieła identyczne z namalowanymi wcześniej; niemożliwe do odróżnienia od nich, chociaż wcale nie będące ich kopiami. Zbyt długo już to wszystko trwa! Zbyt wielu chwytą za pędzel!

Artyści sami sobie są winni; sami sprawili, że wdarło się w ich domenę prawo wielkich liczb... Ich rozpaczliwe reakcje w obliczu pustych, do cna wyeksploatowanych kopalni pomysłów: czarny punkt pośrodku płaszczyzny doskonale białej... biały punkt pośrodku płaszczyzny doskonale czarnej... płótno w ogóle nie tknięte pędzlem... Nadejdzie dzień — może już nadszedł? Nie musiałem o tym słyszeć! — otwarcia wielkiej wystawy surowych blejtramów. Pustka manifestująca! Nicość podniesiona do rangi arcydzieła! Przecież nie tylko malarstwa to dotyczy... Muzyka... Czy przypadkiem nie odkryto już wszystkich dźwięków? Wszystkich motywów? Fraz? Akordów? Czy nie połączono już ich ze sobą we wszystkie możliwe sposoby? To by się pewnie też dało obliczyć... Czy już tego nie zrobiono? Po atonalności — atoniczność. Wielki finałowy koncert muzyki bezdźwięcznej. Cisza. Wreszcie przyjdzie komuś skomponować ciszę! Ten Bossyn... Wiedział o tym wszystkim. Albo wszystko to przeczuwał. Rozwinął tuszizm i w ten sposób otworzył sobie drogę ku dziełom, których pierwszeństwo i oryginalność były niepodważalne. Wcześniej może tylko niektórzy rzeźbiarze zmierzali w tę samą stronę... Tak. Rzeźby Canovy czy Rodina zdają się domagać poznania bliższego niż wzrokowe, zdają się żądać, by je dotykano... Ale przecież nikt przed Bossynem nie konstruował wyłącznie do dotyku przemawiających tuneli! Tak jak nikt przed van Eykiem nie malował na wskroś cielesnych, pełnią człowieczeństwa pulsujących portretów. I jak nikt przed

Berliozem nie wydobywał muzyki z wybujałe rozrosłych, ogromnych orkiestr. Przełom, którego dokonał Bossyn, miał zresztą wagę większą, jego odkrywczosć głębiej przeorała sztukę. Przecież nawet to mu nie wystarczyło... Prosta sprawa — spostrzegł, że i tuszym skazany jest na uwiad, że i tu jest miejsce tylko dla ograniczonej liczby dzieł, skończonego zestawu wariantów. Głaskanie, pocieranie i klepanie, ciepło i zimno, szorstkość i gładkość, twardość, miękkość i sprężystość, porowatość i śliskość, suchość i wilgotność — ileż razy można to przetasować? Milion? Miliard? A co potem? No tak, penta-art... To było powtórzenie triku; otworzył sobie nim jeszcze jedną drogę... Ale gdy już był na niej — pojął, że to ostatnia. Przestraszył się. Cofnął. Decyzja właściwie bez znaczenia. Bez znaczenia dla sztuki... Prędzej lub później pójdzie tą drogą ktoś inny; setki i tysiące innych... Też wykorzystane zostaną wszystkie warianty, wyczerpią się pomysły... A kolejnej drogi już nie będzie. Rozwój sztuki osiągnie swój prawdziwy, ostateczny kres. Szeźnie wszelka awangarda. Artyści będą tylko epigonami...

Od sztuki jego myśli pomknęły ku polityce, ku kształtom stworzonego przez nią świata. Konferencję w Palermo od dawna uważał za kres historii. Dyplomatom szybciej to poszło niż artystom. Bo cóż jeszcze mogło się zdarzyć? Ład Głównego Nurtu, Pogranicza i enklaw — ład genialnie wsparty na różnorodności ludzkich natur — trzymał się mocno. Powszechny, stabilny i niezmienny. Źródła sił, co porywały społeczeństwa do wielkich czynów, wyschły... Nie runie już żadna Bastylia... Ci, co czuwali, by wszystko trwało w status quo, również bez śladu rozplynęli się we mgle... Nikt nie stłumi już żadnego powstania... Na Krecie zawsze będzie płynął czas minojski, a w Kantonie czas dynastii Ming... Gdańsk? No tak, tu czy tam zawsze jeszcze może powstać enklawa tak mocno tętniąca życiem jak Gdańsk, ale przecież to już tylko gra w historię, a nie historia sama. Prawdziwa historia się skończyła, a świat skamieniał. Nawet, jeśli tym z Głównego Nurtu wydaje się, że jest inaczej; jeśli wierzą, że ich działania wciąż przynoszą jakieś zmiany. To, co ważne — główne granice, reguły globalnego bytowania, zbiorowa wyobraźnia poszczególnych stref — już się nie zmieni... Nigdzie i nigdy...

Dopiero teraz znowu pomyślał o Belli. Wyglądała na bardzo zmęczoną, wytraconą z równowagi, znękaną przez dziwaczne, obsesyjne myśli. Przejdzie jej to! Spędzi tutaj jakiś czas i wszystko będzie dobrze. Wędrowki, w których przekracza się granice stref, w których odwiedza się — jedna po drugiej — kilka enklaw, wtrącają umysł każdego człowieka w stan zawieszenia między jawą i snem, sprawiają, że wszystko zaczyna się wydawać niezupełnie prawdziwe, niepokojące, maskujące jakieś ukryte znaczenia. A jeśli jeszcze dołączy się do tego znużenie... brak snu... Żaden narkotyk nie mógłby działać mocniej! Najtrzeźwiejsi i najbardziej opanowani zaczynają dostrzegać dziwy! Zresztą czasami rzeczywiście można przy tej okazji doznać czegoś w rodzaju olśnienia, wpaść na trop niedostępnych dotąd skojarzeń. Przecież i ze mną tak było...

Dobrze pamiętał ów dzień, w którym finał długiej podróży podsunął mu myśl, że coraz liczniejsze obszary życia osiągają w swoim rozwoju punkt ostatni, że bliskie są wyczerpania możliwości wszelkiej ewolucji; tę samą myśl, która dzisiaj była mu duchowym kompasem, wspólnym mianownikiem, do którego wszystko sprowadzał... Dobrze też pamiętał, jak bardzo go wtedy własna myśl przeraziła. Dreszczem przejęła go wizja świata, który donikąd już nie zmierza, w którym wszystko zrozumiano i wszystkiego dokonano, który tężeje w swej obecnej formie, jakby był wlanym w nią metalem, który dalej istnieć może już tylko jako pomnik samego siebie... Czy chciał tę myśl w sobie stłumić? Wypchnąć ją z mózgu? Zapomnieć? Tak, próbowałem to zrobić... Ale bez skutku... Pozostawało ją zaakceptować... oswoić... uzwyczajnić... Po prostu zdobyłem się na to, by w moim

spozrzeniu nie doszukiwać się znaków apokalipsy, liści wypuszczającej, gałązki przypowieściowego figowca... Kto powiedział, że ludzkość bez końca przeżywać ma zmiany? Dlaczego nie miałyby zacząć istnieć pogrążona w stagnacji? Życie to zmieniać się? Naprawdę? Jak na to dowody? A jeśli wreszcie dotarliśmy do spokojnego portu? I jeśli bezpiecznie będziemy w nim trwać? Oto jak myślałem... Ale to nie tylko gimnastyka intelektu pozwoliła mu odzyskać spokój. Miał też wizję. To była jedyna wizja w całym jego życiu. Szedł wtedy na pierwsze spotkanie z ludźmi, którzy go fascynowali. Chociaż nie religia miała być przedmiotem rozmowy — oczekiwali go w klasztorze. Mrukliwy zakonnik powitał go przy furcie i nakazał, by podążył za nim. Wkroczyli na wąski i długi dziedziniec. Z jednej jego strony wznosił się wysoki, ceglany mur oddzielający klasztor od miasta, a z drugiej ściana kościoła. Tuż przy murze rosła stara lipa wysoko ponad jego zwieńczenie wysuwająca potężne konary. Spomiędzy polnych kamieni, którymi wybrukowano dziedziniec, wyrastały zielone kępki trawy. W powietrzu łopotały skrzydłami gołębie. Przyjrzał się otaczającej go przestrzeni, rzucił okiem na biały, kapturzasty habit idącego przodem zakonnika i nagle przysłała mu do głowy zaskakująca myśl; zdał sobie sprawę, że gdyby prowadzono go tędy przed rokiem, przed dziesięcioleciem, przed stuleciem, a nawet przed paroma wiekami — obraz przed jego oczyma byłby dokładnie taki sam. Na zewnątrz była gdańska enklawa, ale gdyby rozciągał się tam typowy obszar Pogranicza albo Głównego Nurtu — obraz również by się nie zmienił. To miejsce wymykało się czasowi! Istniało poza nim! Miejsce poza czasem... Nie wiedział, skąd zna to sformułowanie, gdzie je usłyszał lub przeczytał... Ale przecież nie znał innego, które równie dobrze oddawałoby sens jego spostrzeżeń. Pochłonięty myślami zwolnił nieco i równo idący zakonnik zdążył się oddalić. Poderwał się, by go gonić. Ale właśnie wtedy na mgnienie opanowało go niesamowite uczucie głębokiej więzi z tymi, co przeszli tą drogą przed nim. Zobaczył ich: wszystkich naraz, przenikających przez siebie nawzajem, w tę dziwną jedność wchłaniających i jego. W tym intensywnym, tak intensywnym, że prawie bolesnym doznaniu, zdawali się przytakiwać jego przypuszczeniom, potwierdzać słuszność kierunku, w którym zmierzał w swych dawnych rozważaniach; to oni wraz z nim tworzyli barwną, migotliwą smugę światła, pędzący strumień zmienności — miejsce trwało. Znacznie później wyszukiwanie miejsc podobnych stało się dla niego czymś pośrednim między hobby i obsesyjnym przymusem. Kolekcjonował imaginacyjne, ze stulecia w stulecie płynące obrazy: biała postać na rzymskim placu... czarna postać pod jerozolimskim murem... spowita w pomarańcz postać na stokach Emei... postać w czerwonym blasku stosów płonących nad Gangesem... Można osiągnąć kształt ostateczny i trwać dalej! Wciąż musiałem się o tym upewniać... Wciąż muszę... Ale to naprawdę pomaga. Belli też pomoże. Ten kraczący grajek... Powinna o nim zapomnieć. Zapomni.

Obudziła się. Wokół niej panowała zupełna, smolista, nie dająca się przeniknąć ciemność. Przez chwilę leżała bez ruchu zastanawiając się, gdzie jest. Ale nie zdołała zebrać myśli. Podniosła się. Rozpostarła ramiona sondując otaczającą ją przestrzeń. Okazała się niezbyt rozległa; po obu stronach jej dłonie napotkały ściany. Ostrożnie postąpiła krok naprzód; instynktownie obrała kierunek, ku któremu — wtedy, gdy jeszcze leżała — zwrócona była głową. Potem zrobiła drugi krok. I trzeci. Nie napotkała żadnej przeszkody. Nagle doznała olśnienia: przecież porusza się tak, jak w tunelu dotknąć! Jeszcze jedno dzieło Bossyna? Chyba tak... Ale przecież nie pamiętała jego początku, nie wiedziała, jak na nie trafiła... Oczywiście było jedynie to, co właśnie się działo... Ta chwila bez przeszłości i przyszłości... Chwila jak ze snu... Tak! To wciąż musiał być sen! Przebudzenie też się jej przyśniło; oznaczało jedynie przejście z jednego majaku w drugi... Teraz spróbowała obudzić się naprawdę. Natężyła wszystkie wewnętrzne siły, skupiła całą wolę. Wbiła paznokcie w dłonie, przygryzła wargi, zacisnęła powieki. Odczekała chwilę. Ale gdy na nowo otworzyła oczy, napotkała ten sam co przedtem widok. Albo raczej brak jakiegokolwiek widoku — gęstą czerń... Pozostawało jej iść dalej. Wcale nie było to zresztą przykre; pod nogami czuła coś, co mogło być grubym, puszystym dywanem, w powietrzu panowało łagodne, krzepiące ciepło, od czasu do czasu o jej ciało ocierały się swobodnie wiszące, miękkie, aksamitne futra. Odprężyła się, ośmieliła, przyspieszyła kroku. I właśnie wtedy jej nogi zniecka pograżyły się w lodowatej, lepkiej brei. Poślizgnęła się, upadła na kolana, Wstrząsana dreszczami obrzydzenia zerwała się zaraz i porwała do biegu, ale już w sekundę później uderzyła głową w występ obniżonego nieoczekiwanie pułapu. Upadła znowu. I znowu się zerwała, ale na bieg nie miała już odwagi...

Ze wszystkich sił starała się, by nie wpaść w kolejne pułapki, a jednak jeszcze parę razy sekwencje doznań łagodnych i miłych zdołały uspić jej czujność. I oto w najmniej oczekiwanych momentach znów przychodziło coś budzącego wstręt i lęk, wywołującego ból, niosącego upokorzenie... Pod wpływem tych wszystkich przeżyć z chwili na chwilę rosła w niej wściekłość. Gdyby teraz spotkała Bossyna, bez wahania powiedziała mu, co myśli o tym dziele. A także, co myśli o nim samym... Wreszcie, wciąż nie widząc i nawet na nic jeszcze nie natrafiwszy dłonią — jakimś szóstym zmysłem chyba! — wyczuła przed sobą obecność przeszkody. Wolniuteńko zbliżyła się do niej; napięta błona szczelnie zamykała całe przejście. Co to było? Jakaś folia? Guma? Cieniutko wyprawiona skóra? Pod naciskiem palców gładka powierzchnia ugięła się, cofała lekko. Kusiała, by naprzec na nią mocniej, wbić w nią paznokcie, szarpnąć i rozedrzeć...

Nie potrafiła oprzeć się impulsowi; rozcapierzonymi palcami uderzyła w błonę i przebiła ją na wylot. Zacisnęła w garści jej strzęp i ze wszystkich sił pociągnęła ku ziemi. Dziwna kurtyna ustąpiła, ale jednocześnie oczywiście się stało, że za nią kryje się następna. Rzuciła się i na tę. A później na jeszcze jedną. Jak kaskader własnym ciałem rozbijający szyby. Jak lew skaczący w cyrku przez zaklejoną papierem obręcz. Wdzierała się w jakąś głębię, w jakieś jądro, w jakiś środek środków...

Dopiero z czasem zdała sobie sprawę, że dalsze błony pokryte były lepką substancją, gęstym klejem. Ich brzegi przywierały teraz do jej rąk i nóg, więziły ją, w coś wciągały... Szarpała się więc, gwałtownie rzucała w przód i w tył, miotając się dokonywała obrotów wokół własnej osi. Nie wiedziała już, czy wciąż podąża w tym samym co dotąd kierunku, czy też wraca tam, skąd przyszła... W pewnej chwili jej przyspieszony oddech i szelest podartych błon przestały być jedynymi dźwiękami wypełniającymi tunelową ciszę; wtargnął w nią nadpływający z ciemności głos, przeciągła wokaliza osnuta wokół jednego, monotonicznie powracającego motywu. Ale nawet to nie obudziło w niej lęku. Przeciwnie — jeszcze mocniej poczuła, jeszcze mocniej uwierzyła, że przecież w końcu zdoła się wyrwać. Przedrzeć. Wyzwolić. Już niedaleko...